

Nr 1 (92)

CZASOPISMO LITERACKIE

2023



ISSN 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM



PEGAZ LUBUSKI





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 1 (92) 2022

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igzielska

Sekretarz redakcji: Danuta Zielińska

95 727 70 70 / d.zielinska@wimbp.gorzow.pl

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska, Danuta Zielińska

Druk: PRINT GROUP Sp. z o.o.

ul. Cukrowa 22

71-004 Szczecin

W numerze i na okładce prezentujemy fotografie Urszuli Zydorczak

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadstanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadstanych materiałów.

TRANSGRESJA / FLUKTUACJA / RUCH

** Jestem powolnym drganiem energii. * Tak czystym – że łąki nic nie stracą / białe skrzydła wskażą / drogę / Jak wstęgę tajemną. * Wydarzenia i zjawiska układają się w pewien proces, którego pulsacyjne i oddziaływujące epicentrum ma charakter kulturowy, a jego początki sięgają głębiej niżli tylko globalne sprzężenie procesów ekonomicznych. * Czas zamart / rozptómięta jednia płynęła między nimi bez końca / trwał błogi sen, z którego nikt nie chce się obudzić. * Czas pochłania najdrobniejszy szczegół. * Świat dąży do nienazywania niczego wprost, wszystko jest na pół – ani czarne, ani białe. * Energia nie została ze sobą prawidłowo sparowana, połączona. Ten przypadkowy energetyczny wir stworzył nowy byt. * Nawiguję. Na północ, na północ. A ty piszesz legendę tej podróży. / I że wcale jej nie było. * To, co zostaje po przemijającym człowieku, musi być gdzieś chronione, przetrzymywane, a niekiedy zyskuje drugie życie. * Czas od wojen ją zachował. * Tylko jedno zostało takie samo: przeżywam. * Boisz się jutra / nie wróży nic dobrego. * Doznaje nagłego olśnienia tym, co mu się w życiu przydarzyło. Relacjonuje swoje przygody, zagęszczając je, czasem nieco karykaturalnie. * Ale przecież nie tu i nie teraz! * A ja? Ja, kula w płot, po prostu nie wszedłem im w ten takt. * Cel, cel coraz bliżej. Dojedziemy. * Głównie na zdeformowanej materii lub fizycznych ułomnościach, dewiacjach, dziwactwach i wybrykach natury skupia swoją uwagę. * Ujawnia to, co w życiu ciekawe. * Wielu z nas zazieleni myśli, zakwitnie chceniem, przekroczy kolejny próg. Wtedy Człowiek Prawdziwie Zmartwychwstanie * Jest swobodnym zapisem. * Exit * Jak zagadkowy i złożony potrafi być świat. **

Ten tekst jest. I go nie ma. Ma i nie ma autora. Ów. Uff! Powstał z cytatów zaczerpniętych z tekstów zamieszczonych kolejno w tym numerze pisma. Słowa układają się w wersy, tworząc nowe sensy, przekraczając granice tekstów, czerpią – każde z innego źródła. Pulsują. Znaczą.

Transgresja – przekraczanie granic.

Fluktuacja – przypadkowe, niedające się przewidzieć, odchylenia od normy.

Ruch – zmiana położenia punktu materialnego w stosunku do innych punktów dokonująca się w czasie.

O tym opowiada / ją / my. Wy – czytajcie.

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza



JESTEM

Łucja Fice

Jestem tylko powolnym drganiem energii
 Nie ma mnie i nigdy nie było
 Atomy mojego ciała mieszają się ze wszystkim
 Co w ziemi i powietrzu którego nie wdycham
 Wcale nie oddycham
 Nie ma miejsca które się zaczyna i które się kończy
 Nie ma rozgraniczeń pomiędzy mną samą
 Jestem tylko samej siebie wspomnieniem
 Nie jaźnią Nie EGO
 Mgiełką iluzji jest moje imię i osobowość
 Istniałam już przed narodzinami
 Jestem przeskakującą iskrą w neuronach
 Częścią boskiej energii Zawsze byłam tylko częścią
 ŚNIĘ SAMĄ SIEBIE JESTEM CISZĄ

grudzień 2021

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*) oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

ODLECĘ ALE BĘDĘ

Irena Zielińska

Już łąki tracą
kropla po kropli
zieloną krew
ptowieją w odlocie
jesiennym

Już skrzydła żurawi
i dzikich kaczek
wskazują mi drogę
w cierpką dojrzałość
głogów
i popieleje rubin na
palcu
już włosy splatam w
warkocz
ze srebrnych pajęczyn

Już rdza na mojej
twarzy
wzera się w skórę
głębiej i zajadlej



Rozjaśnię siebie
iskrą pierwszego
szronu

A gdy nadejdzie zima
spod śniegu wydobędę
usta od szeptów
nabrzmiate
jak od ostatniego
pocałunku
i zetnę z twarzy
nalot szarości
przejrzystym
oddechem

ptaków wszystkich
i odlecę
ale będę
bytem czystym

Tak czystym –
że łąki nic nie stracą
białe skrzydła wskażą
drogę

Jak wstęzę tajemną

IRENA ZIELIŃSKA: poetka, eseistka, autorka tekstów piosenek. Malarka. Członkini Związku Literatów Polskich i RSTK. Laureatka licznych konkursów poetyckich. W 1998 roku ukazał się jej pierwszy tomik poetycki pt. *Oceania Ireńska*. Wydała także tomiki: *Naga rzeka* (2003), *Przytapania na istnieniu* (2011), *Przepraszam za wiersze* (2021) i *Obroty ciała nijakiego* (2022). Od 2012 roku Irena Zielińska współpracuje z kompozytorem Andrzejem Zaryckim (dawnym kierownikiem muzycznym Ewy Demarczyk). W 2013 roku w Piwnicy pod Baranami odbył się koncert, na którym mezzosopranistka Anna Maria Adamiak śpiewała utwory Ireny Zielińskiej, część z nich znalazła się na płycie A.M. Adamiak *Nowe piosenki Andrzeja Zaryckiego* (2013). Laureatka Honorowego Wawrzynu Literackiego 2021.

TAM I Z POWROTEM, CZYLI GLOBALNY RITE DE PASSAGE¹

Maciej J. Dudziak

Nigdy w historii w sposób tak powszechny w mediach, analizach geopolitycznych, orędziach oraz w trakcie debat akademickich terminy: Europa, tożsamość, solidarność, wspólnota nie były wymieniane w jednym zdaniu, jednym ciągiem. Dodać należy, że równocześnie terminom tym towarzyszyły słowa o brzmieniu i znaczeniu odwrotnym: dezintegracja, eskalacja, zimna wojna dwa, podział, rozpad, nacjonalizm. Szczególnie koniec drugiej dekady XXI wieku to rozlewające się i narastające wyzwania związane z eskalującymi problemami natury dezintegracyjnej oraz imigranckiej, przejawiającymi się przede wszystkim w brexicie, próbach oderwania Katalonii od Hiszpanii oraz w aspekcie imigranckim. Wreszcie ruska wojna w Ukrainie.

Świat euroamerykański zasada się na funkcjonalnych antynomiami: kulturowa i społeczna produkcja ładu, solidarności i bezpieczeństwa niesie za sobą konsekwencje powoływania do życia chaosu, partykularyzmu i lęku. Im więcej ładu zostanie wytworzone, tym bardziej rozkwita lęk i niepewność. Ład i chaos powiązane są ze sobą na dobre i na złe, nie mając przy tym wyraźnie zdefiniowanego obszaru funkcjonowania: ongiś obszary postrzegane jako fabryki ładu, wolne od pierwiastka niepewności stanowiąc mogą (i stanowią!) obszary o podwyższonym ryzyku i odwrotnie. Świat dzisiejszy, by przywołać przenikliwe studia Zygmunta Baumana², to świat płynnych i stale zmieniających się wartości i idei, pośród których coraz częściej idzie nie tylko o ich polityczne czy ekonomiczne zastosowanie, ale również o rzeczywiste wdrożenie z użyciem wszelkich dostępnych środków, w tym środków militarnych.

Zakończony późnym latem 2011 roku we Wrocławiu Europejski Kongres Kultury odbywał się w dość osobliwym momencie, na co zresztą zwrócili uwagę liczni komentatorzy tego wydarzenia, które rozpatrywać należy nie tylko w kategoriach samego li tylko projektu kulturalnego, ale – o przekoro! – również i kulturowego.

Moment ów to szeroko rozumiany Kryzys, który od kilku lat raz po raz wybucha kolejnymi lokalnymi erupcjami (Grecja, Hiszpania, Portugalia, Islandia czy też Irlandia), wpływając falami niepokoju oraz lęku przed niepewnym jutrem na zmianę całego systemu, szerszą strukturę Europy, chcąc pozostać w zgodzie z Levi-Straussowską teorią zmiany elementu w strukturze. Kryzys ów, którego świadkami jesteśmy *on-live* i *on-line*, jedynie przez niewielu komentatorów charakteryzowany jest jako spójne i logiczne zjawisko kulturowe, przy równoczesnym

1 Tekst jest zapowiedzią książki autora pt. *Tożsamość i wspólnota w czasach (nie)powinności*, która ukaże się nakładem Wydawnictwa AJP.

2 Zob. tegoż autora: *Płynna nowoczesność*, Kraków 2006; *Płynne czasy*, Warszawa 2007; *Płynny lęk*, Kraków 2008.

zwróceniu szczególnej lub też wyłączonej uwagi na wymiar ekonomiczny. Rzecz można w sposób pewny (choć pewność w czasach ponowoczesnych jest towarem luksusowym o konotacjach wybitnie deficytowych), iż wydarzenia i zjawiska układają się w pewien proces, którego pulsacyjne i oddziaływujące epicentrum ma charakter kulturowy, a jego początki sięgają głębiej niżli tylko globalne sprzężenie procesów ekonomicznych oraz ich wzajemne uzależnienie i stymulowanie³.

Nie wnikając się nazbyt w socjoekonomiczną istotę kryzysu⁴, który zdaje się mieć właśnie charakter niejednorodnie pulsacyjny, należy dla pewnego porządku zauważyć kilka jego cech dystynktywnych. Po pierwsze charakteryzowany jest przez niepokój i społeczny lęk, przytoczonego już wcześniej braku pewności jutra przegłądającego się niepewnie w upiorze społecznie produkowanego przeświadczenia nieprzewidywalności, ma swoje źródło w zasadniczej opozycji do czasów zbawionego spokoju i relatywnej sielanki wynikającej z powszechnie funkcjonującego w Europie lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych oraz dziewięćdziesiątych XX wieku. Po drugie bez trudu dostrzec można, iż przynajmniej część problemów generowana jest przez epicentra decyzyjne nieposiadające stałego adresu zameldowania, wymykające się tradycyjnemu postrzeganiu świata w kategoriach własności narodowej, a tym samym ma charakter spekulacyjno-wirtualny, nie zaś wynikający z realnych zapaści natury gospodarczej.

Po trzecie zaś obecnie doświadczany kryzys jest również, w części przynajmniej, konsekwencją dawnej polityki kolonialnej Europy i jej postkolonialnych fluktuacji z przełożeniem na realnie funkcjonujące społeczności postmigracyjne, które nie dokonały zabiegu asymilacji, nie rozpuszczając się tym samym (wbrew oczywistym oczekiwaniom) w otwartym i obywatelskim (nominalnie) społeczeństwie Europy Zachodniej rozumianej w tym miejscu przede wszystkim jako Unia Europejska.

Do zarysowanego powyżej kryzysu ekonomicznego dodać należy Arabską Wiosnę, która z fazy rewolucyjnej przeszła w fazę masowej produkcji niepewności i chaosu⁵ oraz rewolucję w Ukrainie z początku 2014 roku.

Podłoże obecnego kryzysu ma zatem swoje źródło w kulturowej identyfikacji Europy jako mniej lub bardziej (ale jednak!) jednorodnej, a zatem monadycznej wspólnoty z określoną, choć wciąż pozostającą w ruchu, tożsamością europejską.

3 Warto jedynie zaznaczyć jako ilustrację tegoż stwierdzenia, że powszechnie uważa się, iż swojego rodzaju przyczyną obecnej sytuacji w Europie był krach na rynku kredytów hipotecznych w USA (15 września 2008) spowodowany przez upadek banku Lehman Brothers, który został założony w 1850 roku przez żydowskich emigrantów z Niemiec, braci Henry'ego, Emanuela i Mayera Lehmanów.

4 Ważne jednak, aby zdać sobie sprawę z istoty kryzysu jako swoistego *rite de passage* oraz z jego cech dystynktywnych, szczególnie w kontekście Kryzysu z lat 1920-1930.

5 Najbardziej jaskrawym przykładem jest przypadek Syrii, gdzie fala zmian rewolucyjnych przekształciła się w regularną wojnę domową trwającą od 2011 roku.



Projekt budowy Wspólnej Europy, przyświecający w kolejnych wcieleniach Ojcom Założycielom od początku lat pięćdziesiątych XX wieku, zdaje się w drugiej dekadzie XXI wieku rozpuszczać, trawiony doraźnymi kwasami resentymentów postnacionalizmu, o czym dość dobrze świadczą przykłady poczynań węgierskiego rządu Victora Orbána balansującego na granicy nacjonalistycznego populizmu (między innymi: zamrożenie kursu franka szwajcarskiego, w którym większość Węgrów sptała kredyty hipoteczne, obłożenie specjalnymi podatkami zagranicznych koncernów i banków, zapowiedź i implementacja hasła braku dalszego ograniczania autonomii gospodarczej przez zewnętrzne instytucje finansowe, co skutkuje podniesieniem poziomu opłat przez obywateli Węgier) czy też znaczące *votum separatum* Wielkiej Brytanii w trakcie grudniowego szczytu Unii Europejskiej z 2011 roku, na którym Brytyjczycy głosem premiera Camerona ostro sprzeciwili się tzw. paktowi fiskalnemu Europy, mającemu między innymi przeciwdziałać niekontrolowanemu, a tym samym dokładającym się do już realnie istniejących problemów działaniom rządów narodowych.

To właśnie na kryzysie tożsamości europejskiej, tożsamości w budowie i ciągłym ruchu żywią się obecne lęki, niepokoje i niepewne jutro; tożsamość (*sensu largo*) jest dziś jednym z centralnych tematów zajmujących wyobraźnię Europejczyków. Wpisując termin *tożsamość* w polską wersję wyszukiwarki Google.pl, otrzymuje się w 0,09 sekundy wynik 7 881 000 przedmiotowych odniesień, zaś dokonując podobnego zabiegu na jej anglojęzycznym odpowiedniku, wynik ustanowiony w nieco gorszym czasie, czyli 0,14 sekundy daje zawrotną liczbę

801 000 000! Cokolwiek o tożsamości w czasach ponowoczesnych by nie mówić, jest to jedno z centralnych zagadnień frapujących współczesność.

Zygmunt Bauman, który bez wątpienia jest dziś najbardziej rozpoznawalnym, ale również – czy też przede wszystkim – oryginalnym i przenikliwym humanistą współczesnych nam czasów, z zagadnienia *tożsamości w czasach ponowoczesnych* uczynił jeden z głównych kierunków własnych dociekań, a ich efekty opublikował w licznych książkach⁶, które prócz oczywistego waloru poznawczego, ba! często również przenikliwie profetycznego, posiadają niezbywalny ładunek literacki, nadający twórczości Profesora w relacji z czytelnikiem charakteru intelektualnej przygody⁷.

Choć niewątpliwie polskie, czy też szerzej, wschodnio- i środkowoeuropejskie doświadczenie Zygmunta Baumana, który urodził się w Poznaniu, wpłynęły na rozwój oraz percepcję badawczą i poznawczą twórcy terminu oraz koncepcji *ponowoczesności*, to ograniczanie jego rodowodu li tylko do *polskości* byłoby znaczącym zawłaszczeniem i sprowadzeniem jego do oddziaływania do poziomu o charakterze lokalnym i regionalnym; przeto pisarstwo refleksyjno-analityczne Zygmunta Baumana należy traktować znacznie szerzej niżli jedynie w kontekście polskiej refleksji nad Europą.

Kilka lat temu „Gazeta Wyborcza” donosiła⁸, iż oto zrodził się pomysł powołania do życia, w ramach systemów edukacyjnych Unii Europejskiej, będącej – zdaniem jej twórców – reprezentacją Europy jako określonej reprezentantki Starego Kontynentu, wspólnego podręcznika historii dla dwudziestu siedmiu państw członkowskich Wspólnoty.

Zamysł ów, słuszny z punktu widzenia pewnego uniwersalizującego prądu europejskiego, jak również z powodów poznawczych, spotkał się z dość radykalnym sprzeciwem poszczególnych gremiów historyków niemal we wszystkich państwach Europy, w tym i w Polsce. Sprzeciw ówczesny był, jak się wydaje, zapowiedzią bardziej radykalnych procesów dokonujących się w Europie, procesów, które Amerykanie określili iluzją wspólnotowości (*the illusion of community*).

Nie ma w tym nic dziwnego, spojrzawszy na historię nie tylko najnowszą Starego Kontynentu, ale i tę, która od wieków różnicowała w sposób znaczący poszczególne regiony, kraje i państwa. Bogactwo Europy, jako organizmu połączonego wspólnymi fundamentami kulturowymi, zasada się z jednej strony właśnie na szeroko pojętej różnorodności języków, kultur i tradycji, z drugiej zaś integralność

6 Warto zwrócić tu uwagę jedynie na kilka pozycji z bogatej bibliografii Profesora Baumana, które dotyczą tematyki kondycji tożsamości europejskiej: *Europa. Niedokończona przygoda*, Kraków 2005 oraz *Wspólnota*, Kraków 2008.

7 Zob. *Trudna ponowoczesność. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem. Część I*, red. A. Zaidler-Janiszewska, Poznań 1995 oraz *Horyzonty ponowoczesności. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem. Część II*, red. J. Sójka, Poznań 1995.

8 „GW” – Gazeta Świąteczna, 24-25 lutego 2007.

owych wątków wywołuje, zwłaszcza we współczesnych nam czasach, poczucie mniej lub bardziej, ale jednak, wspólnoty, która jest w trakcie, a jest to proces stały, niewynikający z prostych algorytmów, *nabywania tożsamości*.

Owym właśnie procesom w *trakcie stawania się*, ich genealogii i wizji europejskiej przyszłości swoje prace, które w sposób systematyczny analizują wyżej wskazane zagadnienia⁹, w znakomitej części poświęca Zygmunt Bauman. Niezwykle trudno recenzować jest, a tym samym i dokonywać oceny, kolejne prace Mistrza; można by bez źle skrywanej satysfakcji pisać o ich niezliczonych walo-
rach, z drugiej zaś wstrzemięźliwość nakazuje skupienie się, aby nie rozsądzić skromnych ram formalnych niniejszego szkicu, na kilku wybranych aspektach, które, według piszącego ten tekst, stanowią o istocie omawianej problematyki.

Lektura tekstów Zygmunta Baumana poświęconych w różnych konfiguracjach problematyce Europy skłania do refleksji, iż tożsamość Starego Kontynentu jest pojęciem wypadkowym pomiędzy tym, jak określani jesteśmy przez jednych, na podstawie doświadczeń i ocen, a tym, jak sami, zgodnie z wewnętrznym imperatywem, określać się chcemy, będąc przeświadczonymi o własnej odrębności lub bliskości względem przekonañ określonej społeczności kulturowej, której przekonania podzielamy, z którą czujemy się szczególnie związani i której wzorców życia gotowi jesteśmy bronić.

Oczywiście, taka wypadkowość dwóch jedynie czynników jest ogromnym uproszczeniem zagadnienia: dość powiedzieć, iż tożsamość bywa – zwłaszcza w ostatnich, wieloznacznych i współczesnych nam czasach – pojęciem na wskroś nieostrym, możliwym do zastosowania w wielu różnorodnych kontekstach. Mamy tedy tożsamość etniczną lub narodową, seksualną, rodzinną, religijną, regionalną, ba! pojawiają się zupełnie nowe formy tożsamościowe, takie jak tożsamości równoległe, czyli wirtualne, przynależne choćby różnym stopniom identyfikacji wynikającym ze współprzynależności do sieciowych wspólnot.

Warto w tym miejscu pokusić się o pewne porządkujące uwagi koncentrujące się wokół samego pojęcia *tożsamości* i jego mniej lub bardziej autonomicznego funkcjonowania, krążąc po marginesie, a równocześnie pozostając w nurcie myśli Baumana. Przez wielowątkową analizę różnych wariantów tożsamościowych człowieka ponowoczesnego, rozumianą choćby poprzez słynne już metafory nomady, tubylca, włóczęgi, pielgrzyma oraz turysty Bauman nie wskazuje precyzyjnie, iż ma na myśli wyłącznie Europejczyka, lecz przede wszystkim formację cywilizacyjną kultury euroamerykańskiej, choć i ta zawartość zdaje się już wykraczać poza ramy tak zwanej cywilizacji Zachodu (zresztą o takowej, rozumianej według dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych teorii jako pewien stan koherentny i „czysty” trudno już dziś rozprawiać bez cienia ironii i dystansu).

9 Główna część cytatów pochodzi z książki Zygmunta Baumana, *Europa niedokończona przygoda*, przekł. Tomasz Kunz, Kraków 2005.



Autor *Prawodawców i tłumaczy*, wierny zasadom socjologii interpretacyjnej i dekonstruującej, często wskazuje na społeczny i kulturowy kontekst powstania i funkcjonowania pojęć przyjętych zarówno w praktykach potoczno-doswiadczeniowych, jak również i w dyskursach o charakterze naukowym. Jednym z owych pojęć jest interesujący w niniejszym szkicu termin *tożsamość*.

Niezwykle sugestywnie narodziny terminu oraz pojęcia tożsamości przedstawia socjolog i kryminolog Jock Young, podaje, iż moment, w którym upada wspólnota, to narodziny i wynalezienie tożsamości¹⁰. Owo stwierdzenie należy z całą konsekwencją umiejscowić w pewnym ciągu dekonstrukcji metapojęć charakterystycznych dla ponowoczesnej refleksji humanistycznej. Jednym z owych kluczowych metapojęć (skonstruowanych i wymyślonych) jest *naród*, „który potrzebuje państwa, by z „tutejszych” uczynić patriotów, zaś dialekty miejscowe przekształcić w język narodowy, obyczaje lokalne przekuć w kulturę narodową, a obrządki regionalne zastąpić kalendarzem świąt narodowych”¹¹. Można w tym miejscu dodać za Ernestem Gellnerem, iż: „tym, co czyni z nich [obywateli – M.J.D.] naród, jest wzajemne uznanie się za rodaków, a nie jakakolwiek inna cecha, która przysługuje wyłącznie im i odróżnia ich od reszty ludzi”¹².

Owo „wzajemne uznanie się za rodaków” jest wstępnym warunkiem w tworzeniu narodowej wspólnoty, zaś uznanie się za rodaków na mocy tylko przeświadczenia o istnieniu więzów krwi oznacza tworzenie potężnego mitu zbiorowości,

10 Zob. Jock Young, *The Exclusive Society. Social Exclusion, Crime and Difference in Late Modernity*, London 1994.

11 Z. Bauman, *Od plemion do narodów*, „Przegląd Polityczny” 1994, nr 26, s. 42-46.

12 E. Gellner, *Narody i nacjonalizm*, Warszawa 1991, s. 16.

mającej wszelkie cechy „wspólnoty imaginacyjnej [która – M.J.D.] istnieje tylko w tej mierze, w jakiej jego członkowie intelektualnie i emocjonalnie identyfikują się ze zbiorowością, której uczestników w większości nigdy nie spotykają bezpośrednio”¹³.

Takiemu postawieniu problemu wtóruje Benedict Anderson, który w swojej książce *Wspólnoty wyobrażone* twierdzi wprost, iż: „naród jest to wyobrażona wspólnota polityczna, wyobrażona jako nieuchronnie ograniczona i suwerenna”¹⁴.

Nieco inaczej problem tożsamości przedstawia Anthony Giddens, który powiada, iż *zmiany zachodzące w prywatnej sferze życia osobistego są bezpośrednio związane z ustanawianiem stosunków społecznych na bardzo szeroka skalę*¹⁵. Jednakże Giddens wskazuje również, iż tożsamość w epoce późnej nowoczesności ma charakter projektu refleksyjnego i jako taka jest właśnie efektem autorefleksji jednostki nad własnym uкорzeniem we współczesnym świecie, jak również niespotykanym w innych epokach wkładem nauk humanistycznych i społecznych w wprowadzenie refleksji nad tożsamością¹⁶.

Zauważyć tedy można, dokonując, jak zarysowano to powyżej, choćby wyboru pobieżnego, wybiórczego i zdecydowanie sygnalizującego jedynie zagadnienie meta-pojęć, iż ów problem wywołany przez Younga budowania tożsamości ma swoje głębsze uzasadnienie oraz tradycję myślową. Zygmunt Bauman sam wskazuje podobny moment (powołując się zresztą na zaznaczony wcześniej cytat zaczerpnięty z pracy Jocka Yonga *The Exclusive Society*, wznowionej i uzupełnionej w roku 1999¹⁷), iż tożsamość kielkuje na cmentarzysku wspólnot, lecz kwitnie dzięki obietnicy wskrzeszenia zmarłych¹⁸. Tożsamość tedy staje się głosem w dyskusji na rzecz utrwalania odmienności w czasach ponowoczesnych, w których odróżnianie się stanowi często być albo nie być podmiotowego i zbiorowego „ja”. Tożsamość również, jako element *tradycji wynalezionej* rozumianej zgodnie z wykładnią zaproponowaną przez Erica Hobsbawma¹⁹, ma za zadanie mniej lub bardziej kreację nowych jakości, przy zastrzeżeniu, iż owa kreacja winna czerpać swoją siłę w przeszłości. Takie zresztą podejście jest równocześnie w znaczącej mierze klasycznym podejściem etnologicznym, definiowanym choćby w *Słowniku etnologicznym*, gdzie tożsamość kulturowa to: najważniejszy rodzaj tożsamości zbiorowej, który polega na historycznie uwarunkowanym, kulturowym sposobie zachowania przez daną zbiorowość ludzką istnienia i ciągłości gatunku oraz równowagi biopsychicznej. Składają się na nią:

- 1) elementy dziedzictwa, nawet całkowicie lub częściowo zdezaktualizowane,

13 Z. Bauman, *Państwo i naród*, [w:] *Socjologia*, Poznań 1996, s. 177.

14 B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone*, Kraków 1997, s. 19.

15 A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość*, Warszawa 2001, s. 46.

16 Ibidem, s. 46 i nn.

17 Por. Z. Bauman, *Wspólnota*, Kraków 2008, s. 24.

18 Z. Bauman, *ibidem*, s. 25.

19 Por. *Tradycja wynaleziona*, red. E. Hobsbawm, T. Ranger, Kraków 2008.

- 2) rodzaj, proporcje i ustrukturowanie składowych elementów danej kultury zarówno ze względu na odrębności wyróżników kulturowych, jak i na osiągnięty poziom powszechników społeczno-ekonomicznych i cywilizacyjnych wewnątrz danej kultury,
- 3) kontekst zewnętrzny równorzędnych czy nierównorzędnych kontaktów z innymi kulturami, występujących w różnym natężeniu w przeszłości i teraźniejszości²⁰.

Bazując na powyższych ustaleniach, powiedzieć więc można, iż tożsamość Europejczyków tyczy człowieka przede wszystkim w pewnej szczególnej sytuacji kulturowej – zdarzeniu – w której jego kulturowe „ja” (lub „ja” kulturowe wspólnoty przezeń reprezentowanej) poddane zostaje konfrontacji z rzeczywistością odmienną od dotychczas rozpoznanej. Ma zatem rację Jürgen Habermas, określając współczesny świat jako nieprzejrzysty z płynnie funkcjonującymi tożsamościami; nic bowiem w świecie współczesnym nie wynika z prostych algorytmów matematycznych, które jedynie z pozoru przydają wewnętrznej spójności określonym zdarzeniom. Ten sam Habermas w rozmowie z Georgiem Diezem zamieszczonej w *Der Spiegel* z 2 grudnia 2011 roku dopowiada niezwykle zdecydowanie, iż „proces rozszerzenia, integracji i demokratyzacji nie postępuje automatycznie, sam z siebie, lecz można go odwrócić. Po raz pierwszy w historii UE jesteśmy świadkami demontażu demokracji. Wcześniej nie przyszłoby mi nawet na myśl, że coś takiego jest możliwe. Znaleźliśmy się jednak na rozstaju dróg”.

Dostrzegając analogii nici intelektualnych potąceń między Habermasem i Baumanem, ten ostatni argumentuje, iż tożsamość Europy narodziła się z chęci podróżowania, które z reguły miało charakter ciepłego (choć nie tylko!) awanturnictwa, które jako swojego rodzaju koło zamachowe legło u podstaw poznania tego, co za kolejną górą i morzem²¹. To właśnie owo, przytaczane przez autora *Nowoczesności i zagłady*, chroniczne nieznoszenie granic legło u jednej z podstaw przygodności, by przywołać słynny termin Richarda Rortiego Europy jako wspólnoty w różnorodności²².

Przytaczane już powyżej awanturnicze poszukiwanie przygody spowodowało, iż Europa odkrywając i podbijając kolejno wszystkie kontynenty, nigdy jako taka nie została odkryta przez innych, jak również przez owych innych podbita²³, co w sposób znaczący wpłynęło na rozstrzygnięcie losów ludzkości na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat.

Tym samym to właśnie Europa stała się „wynałazczynią kultury”, ale również i „wymyśliła potrzebę i zadania ukulturowienia kultury”²⁴. Bauman tym samym wskazuje, iż to, co współcześnie wydaje się truizmem, czyli „każda społeczność

20 Por. *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, red. Z. Staszczak, Poznań–Warszawa 1987.

21 Z. Bauman, *Europa niedokończona przygoda*, przekł. Tomasz Kunz, Kraków 2005, s. 11.

22 Ibidem, s. 14.

23 Ibidem, s. 17.

24 Ibidem, s. 19.

ma swoją kulturę”, zostało wykute i wdrożone, a w określonym, ontologicznym znaczeniu, narzucone właśnie w Europie i przez Europejczyków.

Bauman argumentuje, iż „w ciągu ostatnich pięciu wieków mentalność niemal całego świata rozwijała się w cieniu wzorców, wartości i kryteriów uotożsamianych z kulturą europejską. Uwieńczeniem wojskowej i gospodarczej dominacji Europy była jej niepodważalna pozycja jako punktu odniesienia przy wydawaniu opinii, pochwalnej lub krytycznej, na temat każdego innego, dawnego lub współczesnego modelu życia i jako najwyższego trybunału, ogłaszającego autorytatywnie ową opinię, od której nie było już odwołania”²⁵.

Tym samym oczywiście staje się, iż w owym poszukiwaniu przygody sam jej akt nie pozostawał jedynie działaniem nastawionym na aktywność i kolekcjonerstwo różnorodności, by sparafrazować Richarda Rorty’ego, lecz – czy też przede wszystkim – nakierowany był na konstrukcję świata zewnętrznego podbitego, obtaskawionego i zdominowanego przez Europę według jej reguł, praw i logiki wykutej w gabinetach filozofów i wojskowych.

Europa w świecie zależności

Jednakże u boku Europy na arenie „gry w dominację” i na jej fundamencie zbudowanym wyrosło nowe imperium, które w ostatnich dziesięcioleciach ową dominację Starego Kontynentu nie tylko zachwiało i nadwątlilo, lecz w sposób znaczący przyćmiło, przejmując pozycję globalnego lidera, żandarma i arbitra. Bauman ma tu na myśli oczywiście Amerykę²⁶. Píše on: „Siła amerykańskiego supermocarstwa istotnie zapiera dech w piersiach i przyprawa o zawrót głowy. W budżecie federalnym Stanów Zjednoczonych na rok 2003 na wydatki na cele wojskowe przeznaczono sumę równą 40% kwoty, jaką wydaje na zbrojenie reszta świata. Suma ta przewyższa łącznie wydatki na zbrojenia kolejnych dwudziestu czterech potęg militarnych i jest dwudziestopięciokrotnie wyższa od łącznych wydatków na ten cel siedmiu państw, które Ameryka oficjalnie uznaje za swoich wrogów”²⁷.

Stany Zjednoczone przejęły zatem dotychczasową dominującą rolę Europy, opierając swoją potęgę o rozwój technologiczny, którego przedłużeniem stała się kondycja i dominacja militarna nad resztą globu, w tym Europą. W stosunku właśnie do tego nowego imperium rodzi się po raz kolejny nowy impuls radzenia sobie Starego Kontynentu z własną tożsamością jako wyzwaniem i procesem w trakcie stawania się.

Kolejnym elementem, który zdaniem Zygmunta Baumana formułuje współczesną kondycję Europy jako wspólnoty w różnorodności, to przejście od państwa opiekuńczego, charakterystycznego zwłaszcza dla drugiej połowy XX wieku,

25 Ibidem, s. 47.

26 Ibidem, zob. s. 71-138.

27 Ibidem, s. 75.

a reprezentowanego w krajach Europy Zachodniej, do wizji i potrzeby państwa bezpieczeństwa²⁸, które w sytuacji zglobalizowanej nie tylko gospodarki, ale i również stylów i strategii życia będzie generowało bezpieczeństwo ponad dotychczasową opiekuńczość z uwagi na jakościowo i ilościowo nowy problem dotyczący świata, w tym i Europę, czyli terroryzm: „Wbrew temu bowiem [...] prawdziwym przedmiotem sporu jest nie to, czy Europa powinna zaangażować się na równi z Ameryką w próby zwalczania terroryzmu, ale to, czy ‘wojna z terrorem’, do której Ameryka chce wciągnąć Europę, jest w tej sytuacji najwłaściwszą formą działania”²⁹.

Zygmunt Bauman formuje, co jest dość charakterystyczne dla jego twórczości, swoiste przesłanie/wizję. Wizja teraźniejszości i przyszłości kondycji tożsamości Europy w świecie ponowoczesnym wydawać się może na bazie ustaleń autora *Prawodawców i tłumaczy* niezbyt atrakcyjna, ba! wręcz ponura, jako nieprzewidywalna, przygodna, wielowątkowa, niepewna i ambiwalentna.

Cóż zatem pozostaje człowiekowi ponowoczesnemu? Wiara w to, że materiał wulkaniczny jest niezwykle kaloryczną pożywką, na której wzrastać mogą nowe i oryginalne formy rzeczywistości kulturowej.

Warto w tym miejscu przytoczyć nieco dłuższy fragment *Europy niedokończonej przygody*, który zdaje się oddawać sens całości tej niezwykle pasjonującej książki, jak i ogólnej i charakterystycznej dla Profesora logiki wywodu: „Logika globalnej odpowiedzialności i globalnych aspiracji, jeśli tylko zostanie zaakceptowana i uzyska przewagę nad logiką okopów, może pomóc w przygotowaniu Europy na nadchodzącą przygodę, być może większą od wszystkich przeżytych dotychczas. Wbrew wszelkim przeciwnościom, logika ta może sprawić, że Europa stanie się ponownie globalnym wzorem do naśladowania. Dzięki niej może wykorzystać swoje wartości i polityczne/etyczne doświadczenie demokratycznych rządów, by pomóc w zastąpieniu zbioru okopanych na własnych terytoriach i desperacko walczących o przetrwanie bytów politycznych całkowicie otwartą, powszechną ludzką wspólnotą. Europa wypełni swoją misję dopiero wówczas, gdy doprowadzi do powstania takiej wspólnoty”³⁰.

I choć słowa powyższe brzmią jak wizja jedynie, której realizacja stoi pod znakiem zapytania, to czy dla skutecznienia takich wizji właśnie nie warto żyć?

Z perspektywy doświadczeń drugiej dekady XXI wieku Zygmunt Bauman uzupełnia swoje dociekania o kolejną, jakże trafną diagnozę: Są ludzie wątpiący w możliwość zaistnienia takiej ponadpaństwowej solidarności, określanej czasami mianem „poczucia europejskiej tożsamości”: zaślubiny państwa i narodu, powiadają, dokonały się raz na zawsze, bo w niebie lub w nieprzeniknionych mrokach dziejów, a zatem tylko w jego ramach solidarność ludzka jest naturalnym atrybutem ludzkiego współżycia; a zaś bez historycznie ukształtowanej narodowej

28 Ibidem, s. 138-187.

29 Ibidem, s. 184-185.

30 Ibidem, s. 212.

wspólnoty losów, tylko chwiejne, kruche i tymczasowe z założenia alianse są do pomyślenia, wynikałe ze żmudnych negocjacji i rozsądkowo, ale bez entuzjazmu akceptowanych kompromisów³¹.

Europa, historycznie i współcześnie, jest regionem o szczególnym natężeniu procesów sejsmicznych (w sensie kulturowym), w którym prawdy mają charakter chwilowy, adekwatnie utylitarny, gdzie sens staje się nieuchwytny natychmiast, gdzie kultura i tożsamość są w trakcie stawania się, będąc równocześnie jedynie i aż grą o działanie, nie zaś o cel.

Historia i współczesność Europy bowiem to gra w przygodność, w nieustanne zmaganie się z przypadkowością i wieloznacznością rzeczywistości, w której stawką jest ułuda jasnej i klarownej tożsamości.

Czasy, w których przyszło nam żyć, niewątpliwie są ciekawe (o czym pisali już starożytni, więc nic w tej prawdzie zaskakującego), jednakże ważne jest, aby obywatele Europy postrzegali ową ciekawą rzeczywistość jako jedną z wielu możliwych alternatyw, nie zaś jako jedyną wykładnię obowiązującego kanonu funkcjonowania w rzeczywistości.

Zygmunt Bauman niewątpliwie wpisuje się z całą mocą nie tylko i wyłącznie w określoną tradycję projektu myślenia Europą, lecz również poprzez fakt swoich środkowo-wschodnio-europejskich doświadczeń. Był i jest świadomym uczestnikiem owego projektu w budowie, który przeżywa obecnie wyraźnie dostrzegalny kryzys karmiony wewnętrznymi sentymentami wizji państwa narodowego lub państwa opiekuńczego.

„I właśnie tutaj – kończy swoją książkę *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie* – przy wykonywaniu podobnych zadań brak wspólnoty odczuwamy najboleśniej; tutaj jednak pojawia się też szansa na to, by wspólnoty przestało brakować. Jeśli w świecie jednostek ma zaistnieć wspólnota, może to być (i musi) jedynie wspólnota utkana ze wspólnej i wzajemnej troski”³².

Dr MACIEJ J. DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytając Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilnowskim pt. *Tomek na Alasce*.

31 Wykład inauguracyjny Zygmunta Baumana na Europejskim Kongresie Kultury, Wrocław 2001.

32 Z. Bauman, *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie*, Kraków 2008, s. 200.

GEST MIŁOŚCI

Andrzej Hegen Haegenbarth

W opustoszałej knajpce siedzą naprzeciw siebie
 ona w typie Alicii Vikander, ale jeszcze piękniejsza
 uduchowiona madonna w wydzierganym przez siebie swetrze
 on przystojny blondyn w czarnej koszulce i białych pepegach
 W ciszy wpatrują się w siebie
 Po chwili ona pochyla się do przodu
 i łagodnym gestem kładzie dłoń na jego rękę
 on wpada w otchłań rozdartej przestrzeni
 rozedrganych, chaotycznych obrazów
 czuje zgrzyt miażdżonego metalu,
 ból, strach i przerażenie
 widzi małą zakrwawioną dziewczynkę
 siedzącą we wnętrzu rozbitego samochodu
 Zanim zaczęło do niego docierać, że ona
 pokazuje mu swoje traumatyczne przeżycie z dzieciństwa
 poczuł bezbrzeżny spokój i sptywające nań ukojenie
 wypełniła go boska, opalizująca bursztynem materia
 barwiona błyskami czułości
 krążyła w zastygłych figurach
 jak w naczyniach połączonych.
 Czas zamął
 rozptomieniona jednia płynęła między nimi bez końca
 trwał błogi sen, z którego nikt nie chce się obudzić
 Przy stoliku stanął kelner z pierwszym daniem
 czar zaczął przygasać, świat wracał do codzienności

ANDRZEJ HAEGENBARTH – HEGEN: foto-grafik, autor książek, artykułów i szkiców monograficznych o sztuce współczesnej. Ma w dorobku książki: *Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945–1980* (1987, współautor), *Eros i wspólnicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje* (1990), *Eros i znawcy* (1994) i *Być artystą!* (1994) oraz wiele wstępów do albumów, katalogów i wywiadów z artystami. Współpracował m.in. ze „Sztuką”, „Wprost”, „Nurtem”. Miał kilka wystaw indywidualnych i wziął udział w kilkudziesięciu prezentacjach zbiorowych.

RELACJA ARTYSTA – SZTUCZNA INTELIGENCJA.

CO NAM PRZYNIESIE AI

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

Sztuka nie jest już dzisiaj tylko wynalazkiem człowieka. Do głosu dochodzi Sztuczna Inteligencja, która, mając nieograniczone zasoby wiedzy, zaczyna tworzyć ART. Nazywana z angielskiego Artificial Intelligence za pomocą różnych kodów potrafi pisać wiersze, wykorzystywać twórczość nieżyjących artystów do konwertowania wersów, stwarzać memy, pisać opowiadania, bajki, artykuły, generować jednorazowe obrazy, ilustracje do tekstów, tworzyć awatary i pewnie jeszcze wiele innych zjawisk.

W 2015 roku grupa badaczy założyła OpenAI, organizację non-profit, która promuje przyjazną sztuczną inteligencję. Ich celem jest rozwój cyfrowej inteligencji w taki sposób, który będzie najbardziej korzystny dla całej ludzkości. Aby to zrobić, pracują oni nad tworzeniem zaawansowanych algorytmów i technologii, które mogłyby być wykorzystywane do promocji i rozwijania sztucznej inteligencji w korzystny sposób. A takim sposobem jest oczywiście tworzenie sztuki, abstrakcji obrazów, mowy wiązanej w każdym z możliwych języków. Wręcz imponująca jest skala umiejętności programu AI. Potrafi stworzyć nie tylko slogan, ale także historyjkę, limeryk, fraszkę, sonet albo fikcyjny wywiad z historyczną czy żyjącą postacią.

Oczywiście w rozmowie AI jeszcze może mieć problemy i zdanie testu Turinga (ach, ten ulubiony film „łowca androidów”) może się nie udać, ale jednak wygenerowanie utworów i to w formie zrozumiałej oraz sensownej nie stanowi już problemu. Literatura piękna nie jest aż tak trudna, a powstałe utwory bywają przepięknie humorem i subtelnymi nieoczywistościami.

Żeby się o tym przekonać, postanowiłam z jednej z darmowych platform AI skorzystać. Najbliżej było mi do Google, które wymyśliło wirtualnego asystenta w postaci AI pomagającego napisać wiersz. Narzędzie nosi nazwę Verse by Verse i zostało wyszkolone za pomocą maszynowego uczenia. Wszystko oczywiście zachowując pierwotną gramatykę i styl pisania wielkich poetów. Na czym ono dokładnie polega? Dwudziestu dwóch poetów do wyboru, np. Walt Whitman, Emily Dickinson, Robert Frost czy Edgar Allan Poe daje nam możliwość kompilacji z trzech wybranych autorów. Wprowadzamy oczekiwania co do formy: czterowiersz, dwuwiersz lub wiersz wolny. Musimy również zaznaczyć liczbę sylab. Do wyboru mamy od czterech do dwunastu. Kolejny krok to już praca twórcza. Naszym zadaniem jest wpisanie pierwszego wersu, dla którego sztuczna inteligencja przygotowuje kolejne,

pasujące zdania, oczywiście zachowując indywidualny poziom, język i styl wybranych przez nas poetów. My możemy wybrać spośród dziewięciu propozycji, czyli trzy wersety od każdego wybranego wcześniej poety. Oczywiście wszystko odbywa się w języku angielskim, ale na bieżąco mamy podgląd w języku polskim. Taki jest wynik mojej „zabawy”.

DREAM

All the flowers for the lady are on the piano
 Ere the fair night was balm;
 Our little lot had been our lot,
 Filled me with the yellow silent moon,
 Lisperd in my voice to the night,
 To sleep with the wide summer sun,
 Before thy moon may eye like flow,

Written by the user

Inspired by Edgar Allan Poe, James Weldon Johnson, and Walt Whitman

COMPOSED IN VERSE BY VERSE



Pocztówka z wierszem wygenerowanym, ale jednak z własnym pierwszym wersem, wydaje się ciekawa. W wolnym tłumaczeniu wiersz brzmi: Marzenie / Wszystkie kwiaty dla pani są na fortepianie / zanim piękna noc była balsamem / nasz mały los był naszym losem / napętnił mnie żółtym cichym księżycem / szepnęłam w moim głosie / spać z szerokim letnim słońcem / zanim twój księżyc może wyglądać jak przepływ.

Można taką pocztówkę odpowiednio ustroić, zapisać i zaprezentować. Warto zaznaczyć, że powstały już całe książki autorstwa AI. Jednym z tomików jest zbiór o intrygującym tytule: *Słońce straciło szklane okna*. Natomiast pewien Pakistańczyk wydał już książkę z wygenerowanymi historyjkami dla dzieci. Świat zaczyna akceptować te rozwiązania.

Co ciekawe, jeszcze większą popularnością cieszą się modele przenikania tekstu do obrazu i generowania wizji na podstawie zaproponowanych tekstów. Odkryto, że duże modele językowe wstępnie wytrenowane na korpusach zawierających tylko tekst są zaskakująco skuteczne w kodowaniu tekstu do syntezy obrazu. Oczywiście rozwój tych programów jest tak ogromny, że tylko niektóre są dla zwykłego uczestnika darmowe. Postanowiłam skorzystać z NightCafe, który to

serwis potrafi generować rysunki w oparciu o sztuczną inteligencję. Program ma kilka darmowych odston i jest bardzo łatwy w obsłudze. Został stworzony przez MIT Media Lab i jest zasilany przez głębokie sieci neuronowe. Do mojego tekstu „Czas pochłaniania najdrobniejszy szczegół” (fragment z wiersza „Poranna medytacja”) AI wygenerowała poniższą ilustrację. Mnie to zaskoczyło.

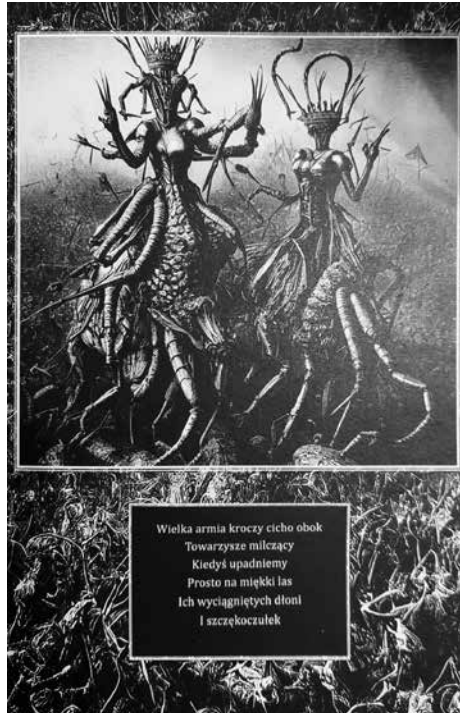
Szczegóły zgodnie z tekstem są rozmyte, ale przecież i upływ czasu widać... Jest w tym jakaś niespodzianka i dla artysty wyzwanie.

Podobny zabieg, ale na większą skalę, bo skalę całej książki wykonał Igor Myszkiewicz, tworząc zbiór poezji ilustrowanej *Maszyna Snów* (Zielona Góra, 2022). Swoje dawne wiersze (zaznaczmy, że skromne w liczbie słów) „wrzucił” w AI, a dokładnie w model dedykowany syntezie tekstu w obraz – Stable Diffusion wydany przez



startup Stability AI w 2022 roku. Program ten wykorzystuje rodzaj generatywnej sieci neuronowej opracowanej przez naukowców z LMU Monachium. Kod i wytrenowane modele SD zostały udostępnione na zasadzie *open source* i mogą działać na większości urządzeń konsumenckich wyposażonych w przeciętnej klasy procesor graficzny. Efekty przeszły wyobrażenie samego autora. Dla czytelników również są zaskoczeniem. Apokaliptyczne postaci, demoniczne obrazy, maszyny niezemskie, przerażające i ciekawe jednocześnie. Ilustracja na kolejnej stronie oddaje ten typ obrazowania najlepiej.

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Organizatorka festiwalu HopLem, HopBiałoszewski i wielu autorskich inicjatyw kulturotwórczych. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów*, *De-Klaracje*, *Misterium Solitera* czy *Martwia*, *Lęgnia* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAIKS, Fundacji im. W. Szymborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zdobywczyni Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa – MOTYLA. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym dwukrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.



Wszystko, co nowe, może budzić zarówno zachwyt, jak i sprzeciw. Pojawiają się również problemy praw autorskich tych autorów, na dziełach których AI się uczy. Sarah Andersen, Kelly McKernan i Karla Ortiz to trójka twórców, która postanowiła w 2023 roku wkroczyć na drogę sądową przeciwko Stability AI i Midjourney oraz DreamUp, pochodzącego wprost od właścicieli DeviantArt. Artyści uważają, że organizacje naruszyły prawa „milionów artystów”, poprzez szkolenie sztucznej inteligencji na pięciu miliardach obrazów pobranych z sieci bez zgody ich właścicieli. Jest to ciekawe zagadnienie. Strona przeciwna może bronić się tym, że generatory grafiki nie przechowują skompresowanych wersji obrazów – co często się im zarzuca i faktycznie byłoby złamaniem prawa autorskiego – a raczej matematyczne reprezentacje wzorów zebranych z grafik, służących do stworzenia zupełnie innego dzieła. W jakkolwiek stronę pójdzie rozwój AI, wiadomo, że poniesie za sobą wiele różnych zagadnień. Choćby proces transgresji etycznej w relacji pracownik – sztuczna inteligencja. Gospodarka cyfrowa zmieni rolę człowieka, a więc i artyści w procesie stwarzania przedmiotów, w tym dzieł sztuki. Coś będzie mutowało, coś na nowo się stwarzało, a człowiek może być w tych procesach tylko lub aż obserwatorem. Mnie ten świat ciekawi, a nawet emocjonuje.

ZATARTE GRANICE

Weronika Nawrocka

We współczesności granice stylów i rodzajów zacierają się coraz bardziej. Świat dąży do nienazywania niczego wprost, wszystko jest na pół – ani czarne, ani białe; brak w nim konkretności i wyrazistości, co paradoksalnie sprawia, że wszystko jest bardziej wyraziste i konkretne, niż było wcześniej. Ludzie nie definiują swojego życia, nie określają go, pozwalają rzeczom po prostu działać. Nie krytykują, bo pod maską postawy, którą nazywają „tolerancją”, a która z prawdziwą, idealistyczną tolerancją nie ma nic wspólnego, schował się potworek znany powszechnie jako „głupota”, który zabrania myślenia, akceptuje rzeczywistość nonkonformistycznie, boi się, że adresatowi „będzie przykro”, gdy usłyszy niepochlebne słowa. Strach przed zajęciem jednego stanowiska jest sposobem na przetrwanie, sposobem ukrycia się i meandrowaniem między wyborami, których nie sposób podjąć – bo przecież lepiej, by podjęły się same. I właśnie to faktycznie się dzieje, bo świat nie jest tworem, wśród cech którego znajdowałaby się stagnacja. Wszystko musi się zmieniać, ale czy jest to zmiana na lepsze czy gorsze, okaże się dopiero po podjęciu tego właśnie krytycznego wyboru. Jak twierdził Jean Paul Sartre, „jesteśmy naszymi wyborami”. Co w takim razie dzieje się z nami teraz, gdy tych wyborów unikamy jak ognia? A zakładając, że literatura jest dokładnym lustrem rzeczywistości, dokładnie to samo dzieje się pomiędzy jej literami.

Czy jest w ogóle jeszcze sens zastanawiać się, czy nadal istnieją koncepty takie jak literatura wysoka i niska? Czy powstają dzieła, lub czy czytamy te wcześniejsze i określamy je w ten sposób? Czy możemy mówić jeszcze o istnieniu Literatury przez wielkie „L”, która – zgodnie z myślą Matthew Arnolda – jest najlepszym, co kiedykolwiek zostało pomyślane i powiedziane? Tutaj również granice zniknęły, pisać i wydać można właściwie wszystko, a ilu recenzentów i krytyków – tyle też można znaleźć skrajnie różnych, często kontrastujących ze sobą, opinii.

Zniknęła również granica pomiędzy twórcą a odbiorcą. Na amerykańskim Booktube’ie i Bookstagramie „nie wypada” krytykować nowości literackich, bo co w sytuacji, gdy te krytyczne recenzje zobaczy autor i będzie mu przykro? Dorota Kotas w swojej powieści „Cukry” (Wydawnictwo Cyranka, 2021) zwraca się do czytelnika wprost, prosząc, by negatywnych opisów jej tekstu nie publikował w internecie. Twórcy mają profile w mediach społecznościowych, gdzie nieustannie śledzą posty dotyczące ich książek, a potem je komentują, zapisują, negują, udostępniają, a czasem nawet sami piszą wiadomości prywatne do popularnych recenzentów, oferując im wysyłkę swojej książki. Wydawnictwa agresywnym marketingiem rozsyłają stopy nowości do blogerów, a gdy dany bloger napisze niepochlebne słowa, paczki z kolejnymi książkami nagle przestają się pojawiać. Znany autor w wywiadzie prosi o zamieszanie swoich wrażeń w serwisach internetowych, ale tylko wtedy, gdy jego

książka spodobała się czytelnikowi – jeśli nie, to radzi zachować swoje opinie dla siebie. Niestety, zniknęła konstruktywna krytyka literacka (której absolutnie proszę nie mylić z hejtem!), napisać i wydać można wszystko, czytać można wszystko, ale mówić o tym można tylko wtedy, gdy się podoba. Lub kłamać. Czytelnik ma twórcę właściwie na wyciągnięcie ręki, a twórca tak samo łatwo może odnaleźć publikowane posty – i mimo że mogłoby się to wydawać znakomitym sposobem na rozmowy z pisarzem lub pisarką, zmianą na lepsze, miejscem wymiany myśli, to stało się czymś wręcz przeciwnym.

Zadaniem prawie niemożliwym staje się wyłonienie z tysięcy obecnie publikowanych książek te faktycznie warte poświęconego im czasu. Będąc zwykłym czytelnikiem, trudno jest już nawet ufać opiniom bookstagramowych recenzentów, skoro ich praca sprowadziła się do tego, że chwalą książki tylko dlatego, że dostali je za darmo. Zanik recenzji faktycznie konstruktywnie krytycznych łączy się nierozzerwalnie z zanikiem myślenia, bo gdzie szukać faktycznych wartości i mądrości, jeśli nie w oficjalnie publikowanych dziełach... lub „dziełach”? Jeśli taka literatura ma być znakiem naszych czasów, to w imieniu przyszłych pokoleń jest mi już bardzo przykro, że będą musiały to wszystko czytać. A prawdziwe perły literackie jest tak łatwo stracić z oczu w zalewie grafomańskich wylewów myśli. Trudno jest nawet stwierdzić, gdzie można by rozpocząć próby poszukiwania tych perel. Czy szukać po gatunkach? Czy może po autorach? Ale gdzie znaleźć tego autora? Może w takim razie wydawnictwo?

Z drugiej strony po macoszemu nadal traktowani są pisarze *science fiction*, mimo że to właśnie wśród nich plasuje się jeden z najlepszych polskich współczesnych twórców, Jacek Dukaj. *Science fiction* ma zamknięte drogi na „salony” literackie, a to przecież właśnie w niej roztrząsa się jedne z najważniejszych problemów dzisiejszego świata. To tam można szukać posthumanizmu, postpłciowości, sztucznej inteligencji, problemów technologicznych i zagadnień związanych z pozycją duszy człowieka w skomputeryzowanej rzeczywistości (czy współcześnie może być coś bardziej realnie martwiącego?). Nigdzie indziej nie ma takiego nagromadzenia odniesień filozoficznych jak w *science fiction*, której większość z filozofii wyrasta i buduje jej nowe gałęzie. Dukaj tworzy nawet swój własny koncept, który nazywa „gramatyką postpłciową”, a który powoli przesącza się do różnych środowisk, nawet tych skrajnie lewicowych. Myśląc dalej o polskim *s.f.*, nie można nie wspomnieć o Stanisławie Lemie, który w swoich czasach musiał postać bohaterów w kosmos, by móc mówić o problemach, które wtedy wymagały komentarza. Lem nawet nie chciał być wtedy kojarzony z gatunkiem, który nie był i nadal nie jest traktowany poważnie. Nawet teraz jego prawdziwą wartość dostrzega tylko wąskie grono czytelników, a dla reszty pozostaje bzdurną bajką. *Science fiction* jest doskonałym gatunkiem, który dobrze napisany, jest źródłem wiedzy o ludzkości; gdzie indziej można znaleźć najbardziej ukryte plany, pragnienia i obawy, jak nie w prozie pisanej pod przykrywką swojej nierealności? Ale nadal ta sama proza,

tak wielowymiarowa i skomplikowana, jest doceniana tylko przez zbyt małe grono odbiorców. Zniszczyły ją też skojarzenia z wszelkiego rodzaju młodzieżówkami, które – umieszczając wśród swoich bohaterów wampira bądź wilkołaka, koniecznie w odstonie przystojnego „bad boya” – nie oferują absolutnie nic poza byciem pustym czytadłem ze zmyślonymi scenariuszami. A literatura przecież ma być tym, co otwiera oczy i skłania do refleksji, co poszerza horyzonty i sprawia, że chce się więcej, wyżej, mocniej. Ma redefiniować schematy i oferować przeżycia emocjonalne, które w innych okolicznościach byłyby niemożliwe.

Internet dał ludziom narzędzie do niczym nieskrępowanego publikowania swoich opinii. W środowisku książkowym funkcjonuje to świetnie – wystarczy założyć profil w odpowiednim serwisie, napisać parę słów i opatrzyć je dobrze dobranymi hashtagami. Jeśli zdjęcie, którym wzbogacony zostaje post, jest wystarczająco estetyczne, klikalność takiego posta osiąga niebotyczne wyniki, a nikt już nie przejmuje się tym, czy opinia dotycząca tekstu jest faktycznie wartościowa, czy została napisana szczerze (choć nie wiem, co gorsze – nieszczerze opinie czy nieumiejący czytać „recenzenci”, wierzący, że ich opinie są wartościowe?) i czy prezentowana książka jest tym, czym recenzent twierdzi, że jest. W tym momencie właśnie następuje dalsze promowanie szkodliwych treści, określanie słabych młodzieżówek mianem *science fiction*, niezrozumienie prawdziwych motywów autora. Bo niestety praktyki te funkcjonują w obie strony.

Faktem niezaprzeczalnym jest to, że nowe zawsze będzie walczyło ze starym i w zdecydowanej większości przypadków – wygra, bo jest innowacją, czymś, czego nie znaliśmy wcześniej, a jednocześnie czymś, co ciekawi. Ale czy to „nowe” musi w kategoriach literackich oznaczać „gorsze”? Wartościowe teksty giną pod gruzami chłamu, opatrzone są łatką gatunku, który źle się kojarzy – a tak naprawdę to tylko one są jego prawdziwymi przedstawicielami. Pisarze i pisarki boją się krytyki, uciekają przed nią i proszą o niepublikowanie jej; a stos nic niewartych czytadeł rośnie. Twórca, pisząc i publikując, oddaje swoje teksty w ręce czytelnika, a wtedy to już on decyduje, co się z nimi stanie. Opublikowane słowa stają się osobnym bytem, niezależnym od ich autora bądź autorki, dorastają, dostają swoje własne życie i od ich jakości zależy, jak długo i w jaki sposób ich życie będzie trwać.

WERONIKA NAWROCKA: pochodzi z Wielkopolski, z małej miejscowości niedaleko Gostynia. Jest studentką filologii polskiej i filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zajmuje się badaniami dotyczącymi obcości w literaturze pięknej i *science fiction*. Współpracuje z polskimi wydawnictwami, zajmując się recenzowaniem książek, głównie literatury pięknej. Prowadzi profil w mediach społecznościowych, gdzie udostępnia swoje recenzje i dyskutuje z innymi czytelnikami. Teksty publikuje w Lubuskim Piśmie Literacko-Kulturalnym „Pro Libris”. W międzyczasie słucha starego rocka i podróżuje. Oprócz tego uczy języka angielskiego zarówno młodzieży, jak i dorosłych.

PRZEKRACZANIE GRANIC

Lucyna Miosga

Zaintrygowano mnie jedno z przewodnich haseł do marcowego wydania „Pegaza Lubuskiego”. Chodzi o słowo transgresja. Nie pamiętam, żebym często, a nawet kiedykolwiek używała tego słowa, jednak kiedy przyjrzałam mu się bardziej wnikliwie, okazało się, że znaczeniowo jest mi bardzo bliskie. Powiedziałabym nawet, że większość mojego życia opiera się o warstwę znaczeniową tego zjawiska w sensie potocznego jego użycia. W sensie geologicznym widzę pewne powinowactwo, ale to już tylko za sprawą mojej bardzo indywidualnej interpretacji. Chyba tylko w jednym momencie mojego istnienia nieświadomie przekroczyłam pewną granicę. Wtedy to po raz pierwszy została naruszona moja strefa komfortu. Dwa tygodnie po terminie przewidzianego porodu nadal nie miałam ochoty opuścić wygodnego gniazdka, jakie uwiła mi matka natura i moja mama. Niestety medycyna postanowiła interweniować i siłą zmusiła mnie do opuszczenia wygodnego płodowego lokum, w jakim wyjątkowo, jak później się okazało, czułam się jak u siebie. Brutalnie wyszarpano mnie na powierzchnię samodzielności przy pomocy dostępnych w medycynie metod i narzędzi, bez mojej akceptacji, jak mi później tłumaczono, chroniąc tym życie moje i mojej matki. A więc tak pojawiłam się na tym świecie. Od początku sprawiałam problemy i przysparzałam zmartwień mojej rodzicielce. Urodziłam się nie do końca gotowa, tzn. nie wszystkie narządy wewnętrzne były wykształcone, przez co nie mogłam normalnie się rozwijać jak inne dzieci. Nie byłam karmiona przez moją matkę, ponieważ nie przyswajałam jej mleka, to trochę tak, jakbym chciała powiedzieć: Nie chciałam tu być, tak więc odmawiam współpracy. Później tłumaczyłam to sobie jako błąd w procesie reinkarnacji. Miałam być kimś innym, ale coś poszło nie tak i wiązka energii, z której miała powstać moja świadomość, napotkała na swojej drodze nieznanne mi przeszkody. W wyniku tego zawirowania energia nie została ze sobą prawidłowo sparowana, połączona. Ten przypadkowy energetyczny wir stworzył nowy byt, czyli mnie. Tak powstałam. Pomimo początkowych problemów, o których już wspominałam, chowałam się zdrowo. Leworęczność, krótsza kończyna dolna czy alergia były niczym w porównaniu z późniejszymi zmianami, jakie ujawniły się w sferze mojej psychiki. Paniecznie bałam się samotności! Nie chciałam opuszczać domu, gdzie czułam się przynajmniej na początku życia bezpiecznie. Niestety przy pracujących rodzicach przedszkole było mi pisane. Wrzucano mnie w pełnym rynsztunku, w kapciach i obowiązkowym fartuszką na salę, ja płakałam, a pani przedszkolanka uspakajała mnie słowami: „Nie bec i nie strasz innych dzieci, bo za karę będziesz w kącie”. Cudowna zachęta do samowystarczalności i stania się odludkiem. Po roku wszystko jak w samospelniającej się



przepowiedni zadziałało. Ja sama w kącie, ze wzrokiem wbitym w drzwi wejściowe od początku do końca pobytu. Było cicho, spokojnie, chociaż czasami jeszcze płakałam... Na szczęście w szkole było cudownie! Byłam co prawda leworęcznym, ale zdolnym i spokojnym dzieckiem! Większość nauczycieli mnie lubiła. To od tego momentu zaczęło rozwijać się moje ukryte „ja”, za sprawą kontaktów z innymi ludźmi, z prawdziwym i autentycznym człowiekiem. Czas spędzony na rozmowie, kontakcie emocjonalnym, wspólnej zabawie czy przeżywaniu dostarczał mi nieustannie budulca do nawiązywania zdrowych relacji z otaczającym mnie światem. Lubiłam być z ludźmi, to było przyjemne. Zachęcona wsparciem i akceptacją moich działań z czasem stałam się bojowniczką i działaczką. Na początek przypuściłam szturm na alkoholizm, który krzywdzi i rujnuje ludzkie życie. Wpadałam do okolicznych knajp z antyalkoholowymi ulotkami i plakatami, strasząc klientelę, skąd mnie notorycznie przeganiano. Głosiłam hasła równości społecznej i światopoglądowej, niestety na swój lekko kulawy i ograniczony sposób. Moja mama przekazała mi wiarę w instytucję Kościoła Katolickiego, tak więc wszelkie nieprawidłowe zachowania gorliwych wiernych oraz wystanników tej instytucji były wymysłem wrogów Kościoła, czyli tych złych. Jednak taki stan rzeczy miał miejsce tylko do pewnego czasu. Był ograniczony do środowiska, w którym

żyłam i któremu bezgranicznie ufałam jako dziecko. Po wyjeździe na studia, rozszerzeniu kręgu znajomych i zamieszkaniu w mieście moje horyzonty znacznie się poszerzyły. W tym czasie urodziła się w mojej głowie teoria kręgów, o której wspomnę nieco później. Większość zachowań nabywamy w dzieciństwie i są one związane z naszą rodziną, jej strukturą, doświadczeniami itd. Schematy te są wdrukowywane w nasz umysł i są naturalną konsekwencją życia, w takim a nie innym otoczeniu, strefie wpływów, a czasami presji. Tak, najbliżsi to nasza największa siła, a czasami niestety słabość. Buduje, ale może zrujnować. Aby nasze „ja” mogło się prawidłowo rozwijać, potrzebujemy przede wszystkim dobrej świadomości siebie samych, odczucia swoich granic, rozpoznania swojej unikatowości i wartości. Jak się później okazało, wiele pracy było jeszcze przede mną, dotyczyła ona przede wszystkim mnie samej, ponieważ tylko osoba ze stabilnym poczuciem własnej wartości jest zdolna do całkowitego otwarcia się na drugiego człowieka i zaakceptowania go takim, jakim jest. W moim przypadku był to proces ciągłej przebudowy. Nowi ludzie, fakty, zdarzenia, wszystko to nieustannie szarpało moją świadomość. Następował proces rekonstrukcji, rozpadu i tworzenia. W końcu przyszedł czas na zmierzenie się z demonami przeszłości. Pierwszym heroicznym aktem na drodze do wolności było publiczne (w warunkach terapeutycznych) zdemaskowanie nadużyć w najbliższym otoczeniu. Przekraczając tę granicę, granicę rodzinnego tabu, poczułam zapach wolności, a jednocześnie swąd wykluczenia i osamotnienia! To granica, po przekroczeniu której nie ma powrotu! Środowisko zdemaskowane nie wybacza, nie biczuje się w akcie skruchy! Szuka stąbnych punktów obnażającego, próbując zrobić z niego kozła ofiarnego, mitomana, w potocznym znaczeniu „wariata”. Nie, nie... nie przyznaje się do winy i nie przeprasza. Co tam przeprasza, nawet nie dopuszcza myśli, że wszystkie te zdarzenia mogły mieć miejsce. Chociaż zazwyczaj wszyscy w zaklętym kręgu milczących o tym wiedzą, ale spychają ową wiedzę czy raczej świadomość w odległe zakamarki podświadomości, pilnując, aby nigdy nie zmieniły swojej lokalizacji. Nie stają nawet w przedpokoju czy sieni, są raczej zakopane w ogrodzie lub co najwyżej upchane gdzieś w mrocznych zakamarkach piwnic czy strychów. Nikt tam nie zagląda pod żadnym pozorem ani pretekstem. Takie rodzinne archiwum X, do którego świadomość nie ma dostępu, a właściwie to nikt już nie pamięta, że istnieje. I tak jest dobrze, tak ma być! To jest bezpieczne. To wszystkich ochrania, a nawet pomaga w przetrwaniu pewnej, tak bardzo pożądanej w życiu wspólnoty połączonych mroczną tajemnicą. Spróbujmy na sprawę popatrzeć z ich perspektywy, ich, czyli strażników tajemnicy. Wyobraźmy sobie taką sytuację: istnieją fakty i zdarzenia, o których nigdy się nie mówiło i nie mówi, chociaż wiedza o nich krąży w ostępach świadomości. Nagle jakiś myszkujący, podstępny albo raczej nienormalny „odrodek” wywleka to na światło dzienne, do wiadomości innych, ukryte, częściowo zapomniane staje się jawne, dostępne dla innych. Fakty,

na których strzeżeniu zbudowane są całe pokolenia, przestały być tajemnicą. „Odrodek” zburzył nie tylko spokój, ale przede wszystkim całą strukturę, na której zbudowane i oparte były filary istnienia wspólnoty. Wszystko eksplodowało. Rozpadło się na miliardy cząsteczek nie do pozbierania. Jediną szansą są ponowne narodziny. Wszystko musi narodzić się od nowa, musi zostać zbudowane na innych fundamentach. Materiał do budowy trzeba pozyskać z innych odległych miejsc i zakątków. Nieskażony, czysty, może niedoskonały, ale nowy, czyli nieznan, a tego chyba boimy się najbardziej! Podsumowując: zdarza się, że nasze „ja” powstaje na zgliszczach „ja” naszych bliskich. Z jednej strony dobrze rozwinięte „ja” stanowi niezbędną podstawę do naszych kontaktów z innymi, a co za tym idzie, naszego zdrowia emocjonalnego i samorealizacji. Z drugiej strony każdy z nas potrzebuje bezwarunkowej akceptacji, aby miał odwagę na rozwinięcie własnego potencjału i podzielenia się nim z innymi. Jak i gdzie znaleźć źródło wzrostu i samorealizacji, mając poczucie granic, które dają nam bezpieczeństwo, nie zaś granic, które nie pozwalają nam na istnienie i rozwój.

Na zakończenie chciałam wyjaśnić, na czym polega teoria kręgów, o której wspomniałam, a która od pewnego momentu, a raczej osiągnięcia danego poziomu świadomości, prowadziła mnie i prowadzi po meandrach życia.

Obiecałam wspomnieć o teorii kręgów, którą dostosowałam do własnych potrzeb w oparciu o inne teorie, w tym np. teorię kręgów kulturowych. W rozumieniu tej teorii jesteśmy niewolnikami danego kręgu do momentu, kiedy nie uświadomimy sobie tego faktu i nie przekroczymy jego granicy. Tak było w przypadku mojej wiary w jednego Boga, wiary, która została mi przekazana przez najbliższych bez najmniejszej nawet wątpliwości lub refleksji. Kiedy jednak poznałam ludzi wyznających inne wierzenia czy wręcz agnostyków, mój krąg myślowy znacznie się poszerzył. Przekroczyłam granice wpojonego mi systemu myślenia i rozszerzyłam krąg swojej wiedzy, a tym samym tolerancji, dodając kolejny krąg. Kręgi nakładają się na siebie, nie eliminując siebie nawzajem. Namnażają się, jest ich coraz więcej, tworząc sieć, z której można korzystać w dowolny sposób. Uzupelniają się nie przez eliminację, lecz dodawanie. I tak każde zjawisko i nowa wiedza nie eliminuje poprzedniej, a jedynie ją uzupełnia, poddaje pod wątpliwość, powodując poszukiwania coraz to nowych rozwiązań, teorii i zachowań! I tak w kółko, bez końca, udoskonalając nasz proces pojmowania rzeczy i zjawisk.

LUCYNA MIOŚGA: od paru lat mieszka w Santoku. Pisze poezję, prozę i artykuły dotyczące pracy z osobami z niepełnosprawnościami. Wydała zbiór artykułów *Pomóż mi być* (2015) oraz książki *Noc po nocy* (2013) i *Anioł Stróż czy czekolada* (2019). Jej teksty znalazły się też w publikacji *Z tej ziemi* pod redakcją Krystyny Kamińskiej.

MINIATURY

Z. Marek Piechocki

Margo z I.

...Miętko pod stopami, a nad nami błękitne niebo. Kocham te spokojne miejsca. Obrośnięte cisy, mech w każdej szczelinie, przycięte równo żywopłoty, matpie drzewa. Cisza i światło albo żarliwy śpiew ptaków. Zimowe melodie wichrów, stout w pubie. Ścieżki wijące się wzdłuż Shannon. Królicze norki, murki...

Małgorzata Południak

Shannon. Śledzę jej bieg w Google Maps. Potem płynę nią w swoim canoe. Tak, to sen. Jak ten o Mullaghmore z zimowym wiatrem, latarnią, zamkiem, górą Ben Bulben, surferami.

Uczę się tamtego kraju z Wikipedii. Szukam ścieżek dla swojego roweru w przewodnikach.

Pokratkowane murkami łąki, pola. Skalne klify. Kruszejące fortece.

W Allegro znalazłem araucarie. Stout w markecie



Wędrowanie

...Ale gdy nadejdzie wreszcie czas spotkania i gdy znajdę się pod jego mocą, ufam, że będę spokojny niczym jakiś człowiek spod Getyngi, który nic nie będzie wiedział o „L o u f r i e d” nad to, że jest tam obfitość jabłek i biały, ciekawski, niezwykle rozumny pies...

Rainer Maria Rilke w liście z dnia 3 listopada 1904 roku do Lou Andreas-Salomé

Tego dnia przyszła oczekiwana burza.

Liście porzuciły drzewa, krzewy. Odstąpiły pejzaż.

Morze, białe dworki, czerwone domy.

Dziennik pokładowy. Sekstant. Cyrkle. Mapy.

Niebezpieczne zachodnie wybrzeże.

Pływy, skały. Znaki nawigacyjne za deszczem.

Nawiguję. Na północ, na północ. A ty piszesz legendę tej podróży.

I że wcale jej nie było. Że siedziałem na oplecionym winoroślami

tarasie Loufried. W koszyku na stole dojrzałe jabłka. U nóg pies.

Że kotysałem się w wiklinowym fotelu na biegunach.

Więc to był sen? Ale przecież, gdy deszcz ustał,

zobaczyłem przez lornetkę brodzącego w płytkiej wodzie człowieka.

W końcu dopłynąłem do portu. Jeśli tak nie było,

to skąd ta kartka, na której *Wieczór w Skanii?*

BESAME MUCHO

Podchodzi do pianina, truchtając stopami.

Schludnie ubrana. Na jasnych włosach

fantazyjny letni kapelusik. Pani Maria.

Wie pan, mój syn nie może tutaj zbyt często przyjeżdżać.

I z dumą w głosie – jest radnym. Ma dużo pracy.

Czy zagrałby pan Besame mucho?

Tak lubię tę melodię. Nie pytam dlaczego.

Co tydzień, kiedy tam jestem, gram tę kompozycję.

Także teraz, kiedy Pani Marii już nie ma z nami...

...Całuj więc mnie mocno tak

Jakby ust naszych żar

*Miał wstrzymać czasu bieg...**

*Fragment tekstu *Besame mucho*

MOJA ASTRONOMIA

Pełnia. Szczekają zajadłe albo wyją.
Ognisko. Leżak. Zapatrzenie się. Płomienie hipnotyzują.
Milczę. A ty mówisz: *wiesz, że jak patrzymy na gwiazdy,*
to jeszcze nas nie ma. Nie rozumiem, bo widzę Wielki Wóz,
Mgławicę Andromedy.

Benatnash – ostatnia gwiazda dyszla Wozu. Światło od niej
biegnie na Ziemię osiemset piętnaście lat.

Więc rok 1202. Nie ma mnie, ciebie. Tego lasu.
13 marca zmarł ksiązę Mieszko Stary.

Dwa ogniki, kiedy się zaciągają. Piotr i Leszek.
Nikt nic nie mówi. Przystałem dokładać do ognia.
Podmuchy nocnego wiatru rozniecają iskry z żaru.
W lesie jakieś szmery. Puchacz ogłasza północ.

Twarz księżycy. Stacja orbitalna.
Droga Mleczna. Warkocz Bereniki.

Lubię, jak włosy upinasz w dobiewany.

2017

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Laureat Nagrody im. Janusza Słowika (2007) i Motyla - Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego (2012). W 1998 roku wydał pierwszy tomik wierszy *Zaistniałem*, a jego *Sytuacje* (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się *Listy hipotetyczne*. Miłośnik i znawca muzyki klasycznej i fortepianowej. W 2012 roku odczytał i wydał częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie *Drzwi otwarte na nicość*. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia*.

ANTYKWARIAT

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Starszy pan podchodzi do przystanku autobusowego. Na przystanku autobusowym stoi starsza pani. Starszy pan zatrzymuje się obok starszej pani. Starsza pani nie jest zaskoczona. Starsza pani uśmiecha się. Starsza pani zna starszego pana.

– Gdzie jedziesz?

– Do roboty.

– Jeszcze pracujesz?

– Jestem na emeryturze. Ale ja nie umiem żyć bez pracy.

– Rozumiem. My z takiego pokolenia. Ja też do pracy – opiekuję się dzieckiem moich znajomych. A ty gdzie pracujesz?

– W antykwariacie. Tym nad Wartą, w centrum.

Starszy pan opowiada, że w antykwariacie zatrzymuje się czas. Ale gdy wychodzi się z pomieszczenia, naprzeciwko przepływa Warta. I ta płynąca Warta na moment spotyka się z tym zatrzymanym czasem. Ale nigdy nie przystaje. Nie lekceważy, co prawda, przemijania, gdyż sama zmierza ciągle naprzód, ale nie przystaje. To, co zostaje po przemijającym człowieku, musi być gdzieś chronione, przetrzymywane, a niekiedy zyskuje drugie życie. Antykwariat to swoisty oddział transplantologii. Gdy odchodzi człowiek, to, z czym żyje przez całe swoje życie, przekazuje się innym. Zawsze bowiem coś zostaje. Człowiek zostawia po sobie cały swój prywatny antykwariat. Nie wszystko jest godne uwagi i zatrzymania w czasie. Ale o niektóre rzeczy toczą się prawdziwe boje i wszczyzna się kłótnie.

Teorie bywają różne. Albo zatrzymać jak najwięcej i wspominać przy każdej okazji. Ponieważ wszystko, co zostaje, wypełnione jest duchem. Albo pozbyć się wszystkiego. Ponieważ wszystko, co zostaje, przynosi falę wspomnień. A wspomnianie bywa największym nieszczęściem człowieka. Skoro przepada duch, niechaj więc przepada i to, co materialne. Albo wyrzucają z nienawiści – bo stół dotykany jego ręką. Bo toaletka z DNA jej włosów. Bo szafa pełna zapachów ich życia. Bo półki z nagromadzonymi książkami wypełnionymi jego ulubioną treścią.

Jest etap braku właściciela. Należy przemyśleć kwestię wtórnej obiektywizacji przedmiotu z pierwotnego zindywidualizowania. Nie wszystkie rzeczy bywają tak cenne jak te, które znajdują swoje miejsce w antykwariacie. Krzesło sprzed dwudziestu lat, na którym – zdawać by się mogło – siada jeszcze, jak dawniej, dziadek, choć dziadka dawno już nie ma, nie stanowi takiej wartości jak to krzesło, które należy do nie wiadomo kogo – kogoś, kogo nie tylko nie pamiętamy, ale nawet nie znamy. Krzesło z czasów przedwojennych (tu, nad Wartą – „przedmiot poniemiecki”) jest cenniejsze i droższe aniżeli krzesło, które kojarzy się z naszym dziadkiem i nie jest „poniemieckie”.

W ten sposób rzeczy triumfują nad człowiekiem. Wyobrażona dłoń ściera jąca niegdyś kurz z jakiegoś stołu, sprawia, że staje się on wartościowszy niż ten, który w naszej pamięci ciągle jeszcze wyciera z kurzu nasza babcia.

- I co, ktoś to jeszcze kupuje? Tyle tych sklepów z meblami ostatnio się porobiło.
- Kupują! Sami lekarze, prawnicy, politycy. Nie masz pojęcia, kogo ja w tym antykwariacie spotykam!
- Takie stare meble?
- Taka moda – żeby nowe wille urządzać w takim starodawnym stylu.

Największym zainteresowaniem cieszą się szafy. I jeszcze stoły. I komody. Czasami wywozi się ku nowemu życiu jakąś małą szafkę i pojedyncze naczynia z prawdziwej porcelany. Swoje schronienie znajdują w nowych domach wielkie stare lustra w oryginalnych ramach. Lustra zresztą najbardziej żyją swoim dawnym życiem. Najtrudniej zapominają. Co prawda nigdy nikt się nie skarży, ale przecież wiadomo, że na takiej lustrzanej kliszy pozostaje na zawsze zatrzymane ludzkie oblicze. Tamta twarz. Tamto spojrzenie. Tamten gest. Nawet wymiana powierzchni lustrzanej nie gwarantuje pozbycia się dawnego właściciela. Lustra przyglądają się nieustannie nowej rzeczywistości swoim starym wzrokiem. Wszzechwidzenie luster.

A stare gazetniki otrzymują nową prasę.

Stare komody wyposażone w nowe zamki są skłonne jak niegdyś – strzec w swoim przepastnym wnętrzu szuflad tajemnic nowych właścicieli. Wnętrznoci wspomnień im się odbiera, starą korespondencję się pali lub przeżywa ona swój ekshibicjonistyczny pokaz w jakimś muzeum pamiątek. A komoda czeka na nowe tajemnice.

W starych szafach wychodzi od czasu do czasu na światło dzienne jeden niezgłodzony chemikaliami do renowacji mebli – drobny, chudy kornik i spokojnie rozpoczyna swe odwieczne zjadanie pótek, które trwa wieczność całą.

Serce starego zegara bije w nowym domu swym dawnym rytmem, jakoby bez świadomości, że to transplantacja kukułki stanowi o młodzieńczej sile uderzeń, gdyż stare serce tak naprawdę już dawno nie bije. Serce nie jest jak dzwon. Serce ma swego przewodnika – współczesną, zrobioną na kształt dawnej – kukułkę, która skrupulatnie wybija godziny pędzącego czasu.

- Drogie są te przedmioty?
- Bardzo drogie, bo bardzo cenne. Dlatego trochę się boję.
- Kradną?
- Rzadko. Duży mebel jest nie do wyniesienia w sposób niezauważalny. Ale młodych się boję. Przychodzą czasami we dwóch, trzech. Rozglądają się takim trochę nieprzytomnym wzrokiem. Nie wiem, czego chcą. Nie przychodzą oglądać. To ich nie interesuje.

Niekiedy jak gdyby Warta wyrzuca ich na brzeg. Są tacy nieobecni, gdyż ciągle płyną. W rytm zdarzeń, z pulsem terażniejszości. Robią sobie przystanki.

Wychodzą na brzeg. I nie poznają rzeczywistości, choć wydawać by się mogło, że tkwią w niej po uszy. Widzą stare szafy, stoły, krzesła, zegary, widzą siebie w starych lustrach. Niekiedy któryś z nich odwraca się gwałtownie i szybko znika tam, gdzie płynie Warta. Może zauważy przez jakiś konieczny moment gniewne oblicze swego przodka, który grozi i złorzeczy – że tyle jest w tym świecie do zrobienia i do naprawienia, a oni wyłącznie sobie spokojnie płyną, zawsze z nurtem, jak śnięte ryby, zaś jedyny ich wysiłek stanowi wychodzenie na łód od czasu do czasu celem zachłyśnięcia się powietrzem, które jest – niezmiennie i trwa – niezależnie od nich.

Czasami wtedy coś ginie ze sklepu. Jakaś mała lampka, jakiś porcelanowy wazonik. Albo uboższe bogata kolekcja starych wieszaków. Może wieczorem któryś z nich wiesza swoją współczesną kurtkę na takim starym wieszaku z napisem „Landsberg/Warthe” – starym, brudnym wieszaku, na którym ciągle jeszcze widnieje ten wryty napis – znamię czasów, z których pochodzi. A gdzieś na tych wieszakach znaleźć można nitki z tamtych ubrań. Teraz rozpoczyna się kolejny etap życia wieszaka – otrzymuje on kolejną rzecz, którą przychodzi mu nieść na swoich barkach. Proces zostaje na nowo rozpoczęty.

– Ich się boję. Oni za szybko ożywiają czas i zbyt łatwo asymilują rzecz ze swoim otoczeniem. Płynące pokolenie...

Nowoczesny autobus z klimatyzacją i wygodnymi siedzeniami podjeżdża do przystanku. Wsiada starsza pani. Za nią wsiada starszy pan. Wybierają miejsce z prawej strony. W autobusie słychać gwar rozmów. O polityce. O suszy. O dziwnych owadach, które ostatnio panoszą się na tej szerokości geograficznej. O gotowych spodach biszkoptowych, z których w pięć minut powstaje pyszne ciasto („takie o smaku z dawnych czasów”). O obfitości kabaczków w przydomowych ogródkach („teraz nie tylko z kapusty robi się wspaniały bigos”). O wandalach nanoszących na przystanki jakieś propolskie napisy. O posezonowych wyprzedażach i socjalnych budynkach. O ścianach, które teraz maluje się na szaro, bo to zgodne z modą.

– Ale za tymi starymi autobusami to ja już nie tęsknię – mówi starszy pan.

– I tamtymi, i tymi dojeżdża się do tego samego celu – mówi starsza pani.

Milczą, wpatrzeni w okna autobusu, za którymi właśnie spokojnie przepływa Warta.

2018 r.

ANETA GZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języków polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka wielu nagradzanych małych próz i opowiadań.

W KLATCE SCHODOWEJ

Ferdynand Głodzik

W dostojnej starej kamienicy,
co czas od wojen ją zachował,
w śródmiejskiej, cichej okolicy,
panoszy klatka się schodowa.

Daremnie tęgo ruszam głową
choć unikam wyolbrzymień;
któż to właściwie był ten Schodow,
że klatka nosi jego imię?

Rzecz osobliwa, niepojęta
do późnej nocy już od rana,
zwłaszcza na tych najniższych piętrach
klatka jest wiecznie zalatana!

Wchodzą do wnętrza kotki, pieski,
miejsce pod dachem zawsze w cenie,
czasem bezdomny tam się zmieści,
by przetrwać noc niepostrzeżenie.

Student roznosi tam ulotki,
Listonosz kartki lub koperty,
Lub jakiś agent z głosem słodkim
rzeknie: korzystne mam oferty!

Bogate jest klatkowe wnętrze,
bo ksiądz tam bywa i komornik,
w spróchniałych deskach na półpiętrze
kręte chodniki drąży kornik.

Tak płyną w klatce chwile znojne
prawie codziennie, mogą przysiąc,
ale im wyżej tym spokojniej,
czasem pogoni kot za myszą.

Na strychu zwykle cisza wokół,
można przyglądać się obłokom,
by żyć powoli i mieć spokój
trzeba naprawdę zejść wysoko.

FERDYNDAN GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik sachów i jogi.

MOJA LITURGIA Z KOSZYKIEM

Jerzy Hajduga

Gdy byłem dzieckiem, Święta Wielkanocne zaczynały się od pójścia do kościoła z koszykiem pełnym pokarmów, aby ksiądz je poświęcić. Była to oczywiście Wielka Sobota, musiało być dużo stońca. I choć trochę zielone drzewa.

Święcone przygotowywała mama, która już od rana piekła sernik, makiwiec i tradycyjnie babkę. Do pokoju, w którym jeszcze spałem, przedostawał się zapach wanilii, cukru, rodzynek i masła. Kuszony takimi słodkościami nie zrywałem się jednak szybko z łóżka, gdyż nie było mowy o skosztowaniu; od Wielkiego Piątku post jeszcze obowiązywał.

W tym dniu szedłem do kościoła w najnowszym ubraniu. Miałem nową, białą koszulę, nowe, krótkie spodnie, nowe, białe podkolanówki i nowe sandały. Czekałem niecierpliwie, kiedy mogłem się ubrać i wyjść do kościoła. Ksiądz święcił dopiero od dziewiątej rano. Poranek strasznie się dłużył. Po porannej toalecie, po zjedzeniu na śniadanie suchej kromki i wypiciu gorzkiej herbaty pojawiał się tata w roboczym ubraniu. Urywał się z pracy, by donieść jeszcze do koszyka cukrowego baranka.

Koszyk stał na środku dużego stołu w pokoju gościnnym, był zastany białą serwetką i przybrany zielonym bukszpanem. Przychodziła wreszcie ta godzina, o której w koszyku musiały się znaleźć: jajka, chleb, sól, szynka, kietbasa, chrzan, lukrowana babka i baranek z cukru – słowem po trosze cały świąteczny pokarm.

Czekałem niecierpliwie, kiedy będzie godzina dziewiąta. Dopiero na krótko przed wyjściem mama zaczęła się interesować moją osobą. Wtedy nagi stawałem na taborecie i postuszny poleceniom mamusi wkładałem nową, białą koszulę, nowe, krótkie spodnie, nowe, białe podkolanówki i nowe sandały.

Do kościoła wyruszyliśmy prawie wszyscy o jednakowej porze. Cała kamienica. Bywało, że na czele naszej procesji szła dozorczyńni. Nazywaliśmy ją Babą-Jagą. Jak w bajce i wobec nas była okrutna. Przez całe dni chowała się po kątach kamienicy, by nas wystraszyć swoim brudnym narzędziem pracy, czyli miotłą. Tego wielkanocnego poranka wychodziła z nami do kościoła, niosąc w ręku ogromną torbę z żywnością do poświęcenia.

Wszyscy szli w milczeniu. A trzeba było jeszcze bardziej zamilknąć, gdy z krystii Bożego Ciała wychodzili ministranci, a za nimi ksiądz w białej komży i złotej stule. Ministranci nieśli naczynie z wodą święconą i kropidło. Ksiądz przez mikrofon odmawiał modlitwę, później kropidłem czynił znak krzyża. Krople wody wsiąkały w chleb, ciasto i spływały po skorupkach jajek w koszykach.

W drodze powrotnej byliśmy już rozgadani, weseli. Ktoś komuś ukradł jajko, kawałek ciasta, to znowu kawałek kietbasy, ale na koniec w bramie kamienicy

oddawaliśmy sobie rozkradzione pożywienie, bo w domu by była awantura i pojejrzenie o naruszenie postu.

Święconkę mama odstawiła do następnego dnia. Dopiero wczesnym rankiem – po rezurekcji można było to wszystko spokojnie zjeść. Uroczyste śniadanie mama i tata zaczęli od dzielenia się tym, co poświęcone. Zaczynali od jajka.

Gdy byłem dzieckiem, już wtedy moja liturgia z koszykiem szybko się zmieniła. Zacząłem odkrywać na nowo wszystkie inne obrzędy wielkanocne, zwyczaje, gesty, obrazy, krzyże, słowa, pieśni. Tylko jedno zostało takie samo: przeżywam te święta jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. No cóż, w każdym z nas jest wcale sympatyczny dzieciuch.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuścić od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022) Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl. Jego tomik *Zostań* podczas tegorocznych Lubuskich Wawrzynów Literackich został nagrodzony dyplomem za szczególne walory edytorskie.



WIERSZE**Jolanta Karasińska****osaczona**

zapętlone życie
 odbiera oddech
 wysusza tży
 rzeźbi bruzdy twarzy
 mocuje usta w grymasie
 zamykającym cierpienie
 zarywasz kolejną noc
 boisz się jutra
 nie wróży nic dobrego
 w spiekocie myśli
 trwasz na posterunku
 jak żołnierz
 czekający na rozkaz
 zakończenia
 nierównej walki
 klęska wisi w powietrzu
 a może jednak?

nie składasz broni
 pomimo wszystko

Bezsenność

okiennice przywarły szczelnie
 do wypłowiałych snów
 tłumiąc echo z pobliskiego lasu
 nie kłaniają się przeznaczeniu
 nie przepuszczają wiary
 w kolejny blask i szept świtu
 gubią się w ciemnych konarach drzew
 kołyszają wiatr i szalone myśli
 pogłębiają skrzypiący zmrok

wyczekiwane jutro
 nie nadchodzi
 upór zacieśnia okna i myśli
 ogranicza widzenie
 wykuty w pamięci rytm
 brzemienne cięży
 sptowiają zielenią
 tłumi strach i oddech
 zabiera przestrzeń
 cisza przenika zuchwale
 w blasku latarni
 zbiera pajęczyny westchnień
 rozsypane resztki nadziei



JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała cztery tomiki poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią poznańskiego oddziału ZLP. W 2019 roku za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

NA SZCZĘŚCIE, PTAKI

Agnieszka Moskaluk

Rozmowa z MACIEJEM ZDZIARSKIM, pisarzem, dziennikarzem i społecznikiem, autorem książki „Na skrzydłach. O ludziach, ptakach i radości życia”

Sobota. Poranek jest chłodny, ale przyjemny – bez deszczu, śniegu, mrozu. Zanim zadzwonię do Macieja, idę w las. Pachnie wilgocią i wzruszoną przez dziki ziemią. Mieszczuch powiedziałby, że jest cicho. Ale ja wytapuję ulubione leśne odgłosy: szum wiatru, trzask gałęzi, skrzekliwe okrzyki sójek i pośpiewywania wiecznie głodnych sikorek. Brakuje tylko tego ulubionego. Więc idę dalej. Krążę dookoła pola za domem. Są! Nadchodzą od północnej strony lasu... Niskie, głębokie, miarowe. Ktoś by powiedział – złowróbne – kraknięcia. Chwilę później dostrzegam i kruka, kiedy kotuje, coraz bliżej i bliżej. Wciąż jednak na takiej wysokości, że jego sylwetka wygląda, jakby była ledwie zaznaczona na szarym niebie podwójnym gryzmołkiem dziecka. Wracam do domu.

„Wycisz się. Oddychaj. Patrz na ptaki. Nad nami znajduje się świat, którego obserwacja koi i łagodzi niepokój. Pogodę ducha możesz znaleźć wszędzie – w szuwarach nad cichym jeziorem, w ogrodzie za domem, na wycieczce. Wystarczy, że uniesiesz głowę” – tak rozpoczyna się opis twojej książki na stronie wydawnictwa ZNAK. A ja chciałabym, byś mi opowiedział, skąd te ptaki wzięły się w twoim życiu. I czy to jest tak, że chłopak z przytulonego do puszki Drezdenka dostrzegł je dopiero po latach, w zupełnie innym miejscu, w czasie pandemicznego odosobnienia?

Mój przypadek był rzeczywiście w jakimś sensie szczególny, choć im bardziej zacząłem wchodzić w świat birdwatcherstwa, tym bardziej orientowałem się, że ludzie, którzy w podobnym momencie podążyli podobną drogą, było więcej. Oczywiście, kiedy wybuchła pandemia i pierwszy lockdown uwięził nas w mieszkaniach, miałem okres lęku przemieszanego z euforią. Wszyscy lękaliśmy się tej nowej rzeczywistości, a euforia wynikała z tego, że nigdy wcześniej nie miałem tyle czasu na lekturę i oglądanie programów przyrodniczych. I dojrzewała we mnie ciekawość, by wrócić do świata przyrody i zainteresowania nią. Bo mam szczególne doświadczenie biograficzne, w jakiś sposób przecinające się z twoim doświadczeniem. Kiedy w połowie lat 90. dołączyłem do zespołu Radia Zachód, oprócz tego, że byłem korespondentem i reporterem, pełniłem też rolę organizatora gawęd przyrodniczych mojego krajana z Drezdenka, dr. Ludwika Lipnickiego...

... wyjątkowego, wspaniałego człowieka!

Tak! Przyjaciela, poety, kogoś, kto wprowadził mnie w świat Okudźawy, Wysockiego, kto poznał mnie z Leszkiem Długoszem, który później, kiedy zamieszkałem



Fot. Maciej Zdziarski

w Krakowie, okazał się jednym z najbliższych moich przyjaciół. Dr Lipnicki wygłaszał na antenie gawędy o przyrodzie. Nagrywałem je na magnetofon reporterski, który przez jakiś czas dzieliliśmy...

... pamiętam.

Ludwik Lipnicki rozbudził we mnie zainteresowanie przyrodą i związkami przyrody z dobrostanem człowieka, kulturą, literaturą i całym systemem skojarzeń. Dodatkowo, wiele lat później – w 2015 roku – podróżowałem po Azji Południowo-Wschodniej. Ambasadorem w Singapurze był Zenon Kosiniak-Kamysz, pochodzący z Krakowa mój dobry znajomy, który zajmował się obserwacją i fotografowaniem ptaków. Pokazał mi kilka miejsc, gdzie można je było zobaczyć. To mnie zainteresowało, ale nie w taki sposób, bym zaczął myśleć o podzieleniu tej pasji, bardziej jako ciekawostka. Dopiero w 2020 roku, kiedy miałem więcej czasu, wróciłem do obu tych wspomnień. Połączyły się, dając grunt do tego, że zwróciłem się ku ptakom. Zamówiłem przez internet „Ptaki Polski” dr. Andrzeja Kruszewicza. Pomyślałem sobie wtedy: To będzie moja nowa przygoda, spróbuję z tego zrobić coś, bo będzie kawałkiem mojego życia. Więc można powiedzieć, że zaczęło się kulturowo, teoretycznie, na podstawie wspomnień i książek, z nim wyszedłem na zewnątrz, by spotkać przyrodę...

A kiedy wyszedłeś jej naprzeciw, zachwyciła? Porwała?

Tak. Moje zainteresowanie ptakami zaczęło się od pewnej intelektualnej konstrukcji, a przerodziło się w obsesyjną skłonność do tego, by w przyspieszonym tempie odbyć nieodbyte wcześniej obszerne „studia” z zakresu ptakologii, rozumianej

szerzej jako spotkanie człowieka i ptaka, wyobrażenie o ptakach, o wolności i całe mnóstwo odniesień, którymi naszpikowane jest polskie malarstwo i literatura.

Jest jakaś fascynująca nierozzerwalność w związku kultury z naturą. Według mnie, nie istnieją bez siebie, a w każdym razie – pozbawione siebie nawzajem – stają się uboższe, niekompletne...

Szczególnie dotyczy to kultury polskiej, która jest kulturą szlachecką i chłopską, i obie te perspektywy są silnie związane z przyrodą. Realny kontakt ze światem przyrody to kontakt całych pokoleń polskiego chłopstwa, z którego niemal wszyscy jesteśmy, choć większość z nas...

...chce być z wyższych sfer. Nasza kultura, literatura, poezja, malarstwo, pełne są ptasich kontekstów, tropów i symboli. Ba! Mamy orła w godle!

Tak. Mamy orła bielika w godle, mamy bociana białego, który jest symbolem naszej polskości, rodzinności, przywiązania do tradycji... To po pierwsze. A wracając do moich wczesnych wspomnień – w działalności Ludwika Lipnickiego bardzo ważna była kwestia ochrony przyrody. Pamiętam z tych drezdeneckich wieczorów rozmowy właśnie na ten temat. Wtedy rodziła się koncepcja powołania Parku Narodowego Ujście Warty, w którą Ludwik Lipnicki był bardzo zaangażowany. Pamiętam atmosferę pracy nad tą jedną z piękniejszych ostoi dzikiego ptactwa w Polsce. I pamiętam, że te jego starania ochroniarskie były osadzone w konkretnym kulturowym kontekście. Jak widzisz, zanim kupiłem pierwszą lornetkę, aparat fotograficzny i obiektyw z długą ogniskową, byłem wyposażony w bogaty bagaż kulturowy.

Tak jest zawsze, kiedy pracuję w domu z dźwiękiem – nagrywam wywiady, montuję, konstruuje zapowiedzi. Najpierw dostrzegam go między sosnami, a kiedy nie przestaję mówić, podlatuje bliżej. Siada na płotku. Wpatruje się w okno. Ja też na niego patrzę, nieruchomiejąc, by się nie spłoszył. Bo choć dzieli nas szyba, jesteśmy na wyciągnięcie ręki. Ptaszek z czerwonym brzuszkiem chwilę kręci głową, słucha, odlatuje, by po chwili znów się pojawić...

Marzyłeś kiedykolwiek o lataniu?

Tak! W książce przywołuję te wspomnienia. One mają bardzo lubuski kontekst, bo uczyłem się w szkole podstawowej w Drezdenku, mieszkalem na zapleczu drezdeneckich łąk, które za sprawą Noteci przez parę miesięcy w roku były zalewane, zamieniając się w miejsce wspaniałej przygody, gdzie można było pływać, bawić się. A że miałem skłonność do wymyślenia historii, właśnie na tych łąkach opowiadałem kolegom, że zamierzam wybudować statek kosmiczny. To były złożone, wielopiętrowe opowieści, które ci ósmio-, dziewięcioletni chłopcy przyjmowali na wiarę i starali się trzymać blisko mnie, pełni nadziei, że kiedyś razem polecimy...

Dziś podobne marzenia są na wyciągnięcie ręki – wystarczy odpowiednia sumka, by odbyć (prawie) kosmiczną podróż. Nie mówiąc już o samolotach. Zadając ci pytanie, miałam na myśli jakiś rodzaj uskrzydlenia, samodzielnego lotu...

Oczywiście! Niedaleko Drezdenka w połowie lat 90. organizowano zloty samolotów i motolotni Polski Zachodniej. Jako reporter radiowy relacjonowałem te wydarzenia. Wtedy pierwszy raz leciałem samolotem i motolotnią. Później napisałem też dla magazynu „Gazety Wyborczej” reportaż „Święto szalonej awiacji”. Opowiadał on o wsi Nowy Trzebiczy, gdzie każdy mieszkaniec latał. Było tak, bo piloci i motolotniarze z poznańskiego aeroklubu, przybывая na zlot i chcąc zaprzyjaźnić się z okolicznymi mieszkańcami, proponowali im takie podniebne przejażdżki. Ten fenomen latania i związku latania z ludzkim marzeniem, żeby oderwać się od ziemi, od siebie, sprawdziliśmy na własnej skórze.

I jak było?

Wyjątkowo! I nie zniechęciło mnie do latania nawet to, że przeżyłem wypadek. Motolotnia, którą lecieliśmy z bardzo doświadczonym pilotem, odmówiła postu-szeństwa i zaliczyliśmy twarde lądowanie, które – na szczęście – skończyło się tylko niegroźnymi potłuczeniami.

Zawsze, kiedy wchodzę na pokład samolotu, towarzyszy mi rodzaj jakiejś szczególnej ekscytacji i przyjemności. Uwielbiam latać. Uwielbiam być ponad ziemią. I to był chyba kolejny element, który dołożył się do mojej przygody z ptakami.

Maćku! Porozmawiajmy o twojej książce. Ma ona dwudzielną konstrukcję. Z jednej strony to zbiór 15 rozmów z ludźmi, którzy nie są ornitologami; wykonują najróżniejsze profesje i kochają ptaki z bardzo różnych powodów. Ty w tych rozmowach jesteś – co ja szczególnie sobie cenię w wywiadach – nieco przezroczysty, dajesz bardzo dużo wolności swoim bohaterom i bohaterkom. Na pierwszym planie są oni. I ptaki.

Mnie zawsze bliska była taka sytuacja, by ukrywać się za bohaterem, dawać mu przestrzeń do pokazania siebie. Żeby nawet pewną nieporadnością, używaniem tylko podstawowych pytań, dopowiedzeń do pytania i zadziwień, dawać bohaterowi szansę na to, by opowiedział coś, czego nikomu innemu nie powiedział. Co jest niebanalne i co o nim mówi. A być może mówi także coś o mnie jako o autorze. Nie wybrałem przecież przypadkowych 15 osób zajmujących się ptasiarstwem, tylko chciałem, by byli to ludzie, którzy mają jakąś wyjątkową historię lub szczególną perspektywę, życiową drogę. Jest tutaj lekarka, która całe życie poświęciła pacjentom i dopiero na emeryturze odkryła, że ptaki w ogóle istnieją. Jest były siatkarz, który prowadzi wielki biznes w branży winiarskiej; w czasie pewnego spaceru jego żona dostrzegła wilgę i powiedziała: To jakiś dziwny ptak, który pewnie uciekł komuś z klatki. Kilka lat później mój rozmówca i jego żona podróżują już po całym świecie i mają ogromną ornitologiczną wiedzę. Jest Piotr Chara – wspaniały przyrodnik i fotograf będący też przecież filozofem, artystą i aktywistą. Nadodrzańską postacią jest, związany z Nową Solą nauczyciel wuefu, Przemysław Pulka, który podczas lekcji uczy dzieci rozpoznawania ptaków, organizuje wystawy, a wokół domu zbudował

Fot. Maciej Zdziarski



się czatowni, gdzie można obserwować i fotografować ptaki z bardzo bliska. I są wreszcie, związani z szeroko rozumianym regionem lubuskim, Marcin i Blanka Horbatowscy, którzy mieszkają w Kotli pod Głogowem. Na marginesie – tam kiedyś przyjechał Edward Stachura i tam właśnie powstała „Siekierzada”.

I tam też przez lata odbywały się Stachuriady. Też na marginesie – za jedną z nich moje stowarzyszenie Die Huelle otrzymało w latach 90. Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry...

... a dziś na jednym z tych pól, gdzie odbywały się Stachuriady, państwo Horbatowscy budują przestrzeń obserwacji przyrody. Przyjeżdżają tam dzieci, by podpatrywać ptaki, jeździć konno. Sam Marcin Horbatowski podróżuje po świecie jako kapitan wielkiego statku handlowego, fotografuje egzotyczne ptaki, a kiedy wraca do Kotli, z żoną obserwuje polskie ptaki. Jak widzisz, bardzo starannie wybierałem bohaterów. Uznałem, że bogactwo opowieści, którą chciałem zbudować, może tylko w niewielkim stopniu pochodzić ode mnie, a w dużo większym – od moich rozmówców.

Ale nadal bardzo dużo mówi to także o tobie.

Mogę powtórzyć za wielkim francuskim powieściopisarzem: „Madame Bovary to ja”. Każdy z nich trochę jest mną, każdy z nich jest jakąś moją kreacją w tym sensie, że w każdego z nich chciałem się wcielić i pożyć jego życiem, by coś z jego życia przenieść do swojego. A władza, jaką daje pisanie, ma i ten aspekt, że w przypadku literatury opartej na rozmowie z drugim człowiekiem mogę wybrać sobie bohaterów, i te wybory są znaczące. Paradoksalnie, tym więcej jest autora w książce reporterskiej czy opartej na wywiadach, im mniej mówi o sobie.

Konstrukcyjnie, druga część książki to twoje „wrzutki”: Czołganie; Hygge; Jestem; Audyencje; Dziękuj; Tutaj. W nich jest Maciej Zdziarski i jego relacja z ptakami i naturą.

Doprecyzowałbym, że to nie Maciej Zdziarski, tylko jego literacki wystannik, który doznaje nagłego olśnienia tym, co mu się w życiu przydarzyło. Relacjonuje swoje przygody, zagęszczając je, czasem nieco karykaturalnie. To zabieg, który ma pokazać czytelnikowi, że to opowieść o pewnej ścieżce prowadzącej do radości życia; niekoniecznie o samej przyrodzie, tylko o tych ptasio-ludzkich relacjach, a może nawet na końcu – choć to zabrzmia antropocentrycznie – o człowieku w ogóle.

Ten literacki wystannik Macieja Zdziarskiego jest frapującą osobą, która po prostu prowadzi nas ku szczęściu, prawda?

Tak, tak! To książka, którą razem z wydawcą staraliśmy się tak sprofilować, żeby nie postawiono jej na półce z literaturą przyrodniczą. Chciałem stanąć na półce z książkami o rozwoju osobistym, o zmienianiu swojego życia, bo od dekady lub dwóch to stało się ważnym nurtem przygód czytelniczych Polaków. Pomyślałem, że mogę wnieść coś nowego...

To szukanie siebie w sobie poprzez naturę...

... można znaleźć siebie w sobie poprzez Pana Boga, zwracając się ku chrześcijaństwu, można znaleźć samego siebie poprzez wejście w różne systemy religijne czy medytacyjne Wschodu, można wejść w lepszą przestrzeń samego siebie poprzez zmianę diety i stylu życia, poprzez podróżowanie, poprzez minimalizację swoich potrzeb, a można tego dokonać także poprzez kontakt w ptakami... Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pracowałem nad swoją książką, na świecie i w Polsce ukazało się kilka innych publikacji dotyczących terapeutycznego oddziaływania ptaków na kondycję człowieka: np. „Ptakoterapia. Jak przyroda uratowała mi życie” Joe Harknessa czy „Ornitologia terapeutyczna” Piotra Tryjanowskiego i Sławomira Murawca. Kiedy pisałem swoją książkę, miałem poczucie, że stworzyłem jakąś własną, osobną kategorię. A później okazało się, że nie jestem sam. Trochę tak, jak w wierszu Stanisława Barańczaka „Obserwatorzy ptaków”, będącego klamrą mojej książki, który na poziomie anegdoty opowiada historię obserwacji czapli błękitnej w jednym z amerykańskich rezerwatów, a na najgłębszym poziomie opowiada, jak podmiot liryczny orientuje się, że w tej obserwacji, w tym zachwycie konstruuje się jakaś ciekawa wspólnota współobserwatorów „ptaków, pogody, innych rzeczy”. I choć podmiot liryczny umieszcza się nieco poza tą wspólnotą, ma poczucie kontrastującej z nią własnej odrębności i samotności, to jednak czuje do niej zaproszenie. Cała konstrukcja wiersza bierze się z ogromnej tęsknoty, by się do jakiejś wspólnoty włączyć. Uzyskanie w niej miejsca to jest bardzo tani bilet do jakiegoś niezwykle ekskluzywnego świata.

Dziękuję.

Wyłączam komputer. Wychodzę. Zabieram ze sobą psy. Początkowo mam wrażenie, że zaburzam jakiś naturalny stan. Przykucam na tasze piasku. Staram się skupić wzrok na czymś konkretnym, na razie jednak widzę tylko płataninę gałęzi zlewającą się w jedną całość. Jednak wystarczy chwila, bym poczuła, że rozptylam się w krajobrazie. Wzrok mi się wyostrza. W gałęziach sosen znów dostrzegam sikorki i sójki. Z oddali słyszę krakanie.

MACIEJ ZDZIARSKI: urodzony w Dreźnie poeta, pisarz, dziennikarz i działacz społeczny. Pracował m.in. w Radiu Zachód, Radiu Merkury, Radiu Kraków, radiowej Trójce i TVP. Współzałożyciel Krakowskiej Akademii Profilaktyki i prezes Instytutu Łukasiewicza. Sekretarz Stowarzyszenia Mistrzowie Sportu – Mistrzowie Życia. Współautor książki: *Mistrzowie sportu, mistrzowie życia, czyli o tym jak sport wpływa na rozwój społeczeństw* (2005, z Robertem Korzeniowskim), *Słucham Mistrzów. Dobrze wybieram* (2006, z Tomaszem Frotowiczem i Zofią Żukowską), *Rozmowy o uzależnionych kobietach* (2007, wspólnie z ks. Jackiem Krzewickim) oraz *Dobranoc, Auschwitz* (2016, z Aleksandrą Wójcik). Autor zbiorów wywiadów wydawanych przez Instytut Łukasiewicza, m.in. *StarsiRodzice.pl. Recepty na dobrą starość* (2012), *Uzależnienia behawioralne* (2014), *Uzależnienia behawioralne u dzieci i młodzieży* (2015), *Seniorze, trzymaj formę!* (2015), *Alkohol i papierosy. Przemysł, państwo, polityki publiczne* (2016). Poetycko debiutował tomikiem wierszy *Taka niespokojność* (1993). W 1996 roku ukazał się tomik *Nie dbam czy ktoś zgadnie dlaczego tak robię*. W 2022 roku wydał książkę *Na skrzydłach. O ludziach, ptakach i radości życia*. Podczas tegorocznych Lubuskich Wawrzynów Literackich otrzymała ona dyplom za szczególne walory edytorskie.



Fot. Marcin Łobaczewski

ŚWIATŁO

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Zamknijcie oczy i postarajcie się wygłuszyć w sobie każdy hałas i każdą myśl, która zakłóca odbiór rzeczywistości. Odsuńcie przyziemne sprawy, zapomnijcie o troskach. zapomnijcie też o tym, jak wygląda świat. Otwórzcie w sobie białą kartkę, na której umieścicie budynek. Budynek jest biblioteką. Wyobraźcie ją sobie... Nie szklaną i bezzapachową, jaką można wyszperać na przepastnych stronach wirtualnej przestrzeni, lecz taką prawdziwą. Pachnącą kurzem, papierem i farbą drukarską. Z szerokimi stołami, na których stoją lampy z zielonym abażurem, wieczne pióra obok kałamarzy wypełnionych granatowym atramentem. Na ścianach dębowe boazerie, zwisające z sufitu ogromne żyrandole, które odbijają własne światło w tysiącach kryształowych też...

Widząc tę bibliotekę, przed jej drzwiami zostawcie szum samochodów, brzęczący telefon, pracę i małe wielkie sprawy. Jest tylko ten świat. Nic innego się nie liczy, wszystko wokół przestaje istnieć. Jest tylko tu i teraz.

A teraz wyobraźcie sobie, że macie do tej biblioteki klucz...

Z sięgających podłogi okien wpadało delikatne światło ulicznych lamp, w jego smugach unosiły się drobiny pyłu, które po chwili osiadały na wysokich regałach wypełnionych książkami. Nie tylko takimi, które mają kolorowe okładki i laminowane grzbiety, które same krzyczą głośno na własny temat, reklamując się przepychem barw, o nie! Półki przede wszystkim zastawione były starymi, zniszczonymi woluminami, wielokrotnie przeczytanymi lub odłożonymi na lepszy czas, na natchnienie, na „później łamane przez nigdy”.

Klucz do ciemnych dwuskrzydłowych drzwi, bogato zdobionych w roślinne motywy i mityczne sceny starców także był niezwykły. Był duży, żeliwny, ciężki... Zauważyłam na nim niewielkie ślady rdzy i tłustą maź, która pewnie pochodziła z oliwionego zamka. Jeden obrót w prawo i drzwi otwarty się szeroko, zapraszając mnie do środka.

Wewnątrz nie było nikogo, ale za to było mnóstw tego czegoś, tej ulotnej magii, obietnicy, która może się spełnić zaraz po skierowaniu wzroku na gąszcz liter, po dotknięciu papieru, po otwarciu zniszczonej okładki i zanurzeniu się w historii.

Było późne popołudnie, właściwie wieczór, potwierdzony biciem starego zegara stojącego w hallu – osiemnaście głuchych uderzeń. Zabrzmiaty jak zgoda na nadejście zmroku.

Sięgnęłam ręką w poszukiwaniu włącznika, jednak po jego pstryknięciu pomieszczenia nie załączył się światłem i nie nastąpiła oczekiwana jasność. Pozostałam nadal w półmroku wysokich pokoi, na podłogach których majaczyły

cienie regatów i mebli. Po omacku posuwałam się dalej, licząc na to, że za chwilę zdarzy się coś, co umożliwi mi zobaczenie całego wnętrza w pełnej krasie. Niestety bezskutecznie. Inne włączniki również nie działały. Jediną możliwością było chodzenie wzdłuż półek z ręką wyciągniętą przed siebie i delikatne muskanie obszernych tomisk.

Nie miałam przy sobie niczego prócz pudełka zapatek. Po krótkiej chwili namysłu zapaliłam pierwszą, modląc się w duchu o to, aby nie zaproszyć gdzieś ognia. Zgasła szybciej, niż chciałam, parząc mi przy tym palce, jednak w tym krótkim momencie dostrzegłam komodę, na której stał trzyramienny świecznik. Świece były w połowie wypalone, może więc nie mnie jedyną spotkała awaria? Dziwne miejsce... Wyglądało na to, że na używanie ognia istnieje tu ciche przyzwolenie.

Gdybym miała pewność, że uda mi się jeszcze raz zdobyć klucz, wróciłabym do domu, jednak to wcale nie było łatwe zadanie. Z zapalonymi świecami poruszałam się więc dalej, czytając tytuły książek, głaszcząc ich okładki i wdychając najpiękniejszy zapach na ziemi. Było to warte wszystkich starań, było warte braku światła! Było nawet warte nabicia sobie guza w krętych zakamarkach księżnicy.

Ciekawiło mnie mnóstwo pozycji, jednak do domu mogłam zabrać tylko jedną. Jedną jedyną, najbardziej wyjątkową, długo poszukiwaną. Taką, która zawołała mnie z półki, da o sobie znać, że od dawna tu na mnie czekała. Zerkały na mnie znajome nazwiska, kusily tytuły, a ja wciąż nie mogłam się zdecydować. Czas zdawał się płynąć coraz szybciej, o czym zegar z hallu skrupulatnie mnie informował, pozostając niezmiennie spokojnym, cierpliwym i kpiącym z naszego pośpiechu.

Cisza, która trwała pomiędzy tymi uderzeniami, także była przepiękna. Dostojna, zaklęta w tym miejscu i tożsama z nim tak bardzo, że zdawała się być tu więziona. Odbijała się od miękkich ścian, wchłaniały ją książki i aksamitne obicia foteli, a ona bezskutecznie próbowała się wydostać na zewnątrz. Może chciała pohasać razem z wiatrem, pobawić się, robiąc karuzele z suchych liści, czy zakręcić dym w kominie?

Z daleka dobiegł mnie cichy pisk, który w tej ciszy zdawał się kroić powietrze na mniejsze fragmenty. Pewnie myszy wyszły na nocne harce. Oby tylko żadna nie weszła mi pod nogi, bo upuszczę którąś ze świec! Wbrew zdrowemu rozsądkowi ruszyłam w kierunku odgłosów, co wśród labiryntu ścianek i regatów nie było wcale proste. Na samym jego końcu zauważyłam, że zbliżam się do sektora z baśniami. Wracam. Chyba nie tego szukam. Zaraz obok była poezja.

Znowu odgłosy... Nie. To nie jest pisk, to bardziej szelest, szmer... Niepewnie rozejrzałam się wokół i sięgnęłam po pierwszą książkę. Potem po następną. Po nich przyszła kolej na inne. Wszystko działo się jak we śnie. Wyjmowane kolejno pozycje same się otwierały w najciekawszych miejscach, same przewracały się strony, a równe rzędy liter zdawały się poruszać w dziwnym tańcu, który

przypominał zygzakowate ruchy węża. Płomienie świec zaczęły drgać poruszone wiatrem, jaki robiły wachlarze kartek, aż zgasty całkowicie.

W panice sięgnęłam do kieszeni po zapałki, które – jak na złość – wysypały się z pudełka na drewnianą podłogę. Nie mogłam żadnej znaleźć. Spokojnie. Tylko spokojnie... Kilka głębszych oddechów, kilka rozprostowań rąk i pleców napiętych od długotrwałej wymuszonej pozycji.

Ktoś kiedyś pisał, że najważniejszy blask można znaleźć w samym sobie, tylko trzeba bardzo chcieć się o to postarać. Ale przecież nie tu i nie teraz! Dookoła mnie była całkowita ciemność, jakbym znalazła się na samym dnie oceanu, gdzie nie dochodzą już promienie słońca. Dopiero po kilku minutach, gdy wzrok przywykł do mroku i dokładnie w momencie, gdy zegar wybił godzinę drugą, udało mi się zauważyć jaśniejsze kontury okien i krawędzie regałów.

Wreszcie wymacałam jedną zapałkę i potarłam nią o bok pudełka. Oby tylko nie upuścić świec! Udało się. Zapaliłam pierwszą, za nią dwie kolejne, które miały już długość nie większą od zużytych pomadek do ust. Ledwo się paliły. Ukucnęłam, aby zebrać pozostałe i wtedy dostrzegłam coś jeszcze. Z tyłu, za moimi butami, leżała otwarta książka. Wzięłam ją do ręki i przesunęłam bliżej świecznik. Z trudem przeczytałam słabo oświetlone litery.

*chciałbym opisać światło
które we mnie się rodzi
ale wiem że nie jest ono podobne
do żadnej gwiazdy
bo jest nie tak jasne
nie tak czyste
i niepewne¹*

Pokój zalał się blaskiem jaśniejszym od słońca, oświetlając mądrość, która minęła i ludzi, którzy odeszli. Portret patrona, lustro w miedzianych ramach i rozsypane zapałki.

Czy możecie sobie wyobrazić taką bibliotekę?

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka i polonistka. Urodziła się w Trzcńsku-Zdroju, ale od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. Jest autorką recenzji zewnętrznej oraz postowia w nominowanej do Nagrody Literackiej NIKE *Księgi ocalonych snów* Krystyny Sakowicz. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*.

1 Z. Herbert, *Chciałbym opisać*, [w:] Z. Herbert, *Hermes, pies i gwiazda*, Wrocław 1997.

RUDY

Marek Stachowiak

Rudy działał jak czerwony guzik, który prawie każdy kompanijny troglodyta wciskał, a pomniejszy z rechoczących głośniejsz debili robił to, by utwierdzić swoją pozycję w stadzie hien. Bywały drugie, a czasem trzecie rzuty imbecyli.

- Spokój miateś? – zapytałem, łapczywie zaciągając się дарowanym papierosem.
- Tak – odpowiedział Rudy, wypuszczając kłębek niebieskiego dymu.
- Masz załadowane ostre czy pusty magazynek? – pytałem dalej.
- Teraz mam pusty. Tylko w nocy mam ostre. Lepiej nie kusić – odpowiedział Rudy.
- Ja w nocy też tylko mam – wyszedł mi jakiś dziwaczny szyk zdania. Uśmiechnąłem się i poklepałem przytwierdzony do pasa ciemny kwadrat ładownicy z wąskimi kieszonkami na magazynki. Słońce powoli wychylało się ponad horyzont. Obserwowałem pomarańczowy żar, który przygaszał w palcach, a przyłożony do ust jarzył się, pochłaniając ciekłą bibułkę papierosa, rozplamiał splątane pod nią pasemka tytoniu, a nim zamienił je w jasnoszary popiół, można było dostyszczyć cichy dźwięk protestu, którego ostatnim akordem był upór utrzymania całości przeciwstawiającej się grawitacji. Czuję się jak to pojedyncze pasemko, zgromadzony z innymi i otoczony granicą, jak one bibułką. Narodowy produkt splątany w pluton, kompanię, putk, po który być może kiedyś sięgnie aktualny mocodawca. Losowo wyciągnie mnie z armijnej papierošnicy. Przyłoży pod ogień i spopieli, kojąc jakiś większy ludowy nerw. Spoglądałem, jak trzymany przeze mnie papieros nieuchronnie przybliża się do stadium peta. Milczeliśmy. Przymknąłem oczy. Pomyślałem, że na długości wędrującego żaru zakończy się jakiś świat i choć ten po będzie innym, to zapewne i on powieli wrzask rozprowadzającego wartę. Harmider kompanii. Wyniosłość kadry. Czternastoosobowej sali z moim górnym łóżkiem. Pobudki. Mojej tamszonej wewnętrznej niezgody i jego pierwszoplanowych prześladowców z wianuszkami akolitów. Obaj na chwilę przymknęliśmy oczy.
- Pojedynkujemy się?! – wykrzyknąłem. To była zupełnie spontaniczna, chłopięca beztroška i nawet przeszedł mnie dreszcz, który, odkąd pamiętam, miałem zawsze, gdy łamałem jakiś zakaz. Także Rudemu zaszkliły się oczy. Myślę, że i on potrzebował poudawania, że w rękach ma czyjeś życie lub śmierć. Może, jak ja, chciał poczuć ten niemal boski balans. Rozciągnąć aluzyjnego wroga w osobie tego, kto akurat chętnie się na to zgadza i staje mu naprzeciwko, a nawet sprzyja temu, by to coś nieostre pozorowało się na coś naprawdę, choć będzie się działo tylko na niby. Dwoje niespełna dwudziestolatków, może nawet o podobnej historii podwórkowych bieganin, strzelanin z za winkli drewnianym koltem do złotych Indian, a może odtwarzających sceny jednego z odcinków serialu o czterech pancernych i psie. Do którego Rudy z ksywy pasował jakby bardziej. W każdym razie to był nasz wspólny nieczęsty tutaj komfort.

Każdy był tym dobrym. Odgrywał tego dobrego, a zarazem był wzajem korzystnie potrzebnym temu drugiemu złym, i obaj mogliśmy wziąć na muszkę żywego człowieka, a nie papierowy kontur, który jako wojska inżynieryjne widzieliśmy nieczęsto. Niemniej Rudy już na pierwszym strzelaniu wszystkie pięć kul umieścił idealnie w niekonkretnie twarzy, czym zadziwił dowódcę plutonu, który pięćdziesiąt metrów dalej w szkoleniowo cielistym miejscu, tuż pod hełmem zastał sporą dziurę z przestrzelin. Teraz myślę, że Rudy już wówczas kierowany sobie wiadomym afektem z każdym pociskiem dokonywał na tarczy jakichś osobistych rozliczeń. Może dlatego, mimo sprawdzalnej zdolności, nie skierowano go na snajperskie szkolenie. Bo przez prywatne rachunki krzywd gotów był kwestionować monopol władzy na określanie wroga. A wszelkie wyjścia na strzelnicę były dla niego jak wizyta u psychologa, a po którymś ze strzelniczych razów nawet zanotował postęp. Dziurę zastąpiło precyzyjne skupienie przestrzelin, które w tarczy tworzyło zdumionego humanoida z bardzo blisko siebie osadzonymi oczyma i nie przekraczało okręgu pudełka pasty do butów. Myślę, że Rudy w każdym strzeleckim popisie miał przed łufą konkretną nieludzkość jakiegoś swojego prześladowcy, którego wyciągał z zaplecza, a potem metodycznie, z każdym wystrzelonym pociskiem czuł ulgę. Może rozstrzeliwał także tåtłowierność siebie. Naiwnego dziecka, które kiedyś nieskutecznie topiło ich jako marzannę i miało nadzieję, że przepędza całą mroźność ich stów. Możliwe, że leżąc na strzelnicy, żałował, iż nabojuwy przekładaniec ostrego z ćwiczebnym nie pozwala mu wyjść poza strzelecki konspekt. Wstać i jedną długą serią ostatecznie rozbić w pył cel, a nawet cele, które tak naprawdę od zawsze miał gdzieś we wnętrzu siebie. A ja? Ni to Cygan, ni Turek, ni Żyd. Chyba miałem nadzieję, że zobaczę w nim nomen omen jaskrawe złoto czystego aryjczyka. Dręczyciela wszystkich ciemnowłosych, ciemnookich, śniadych, ciapatych, albo nawet zaciągnę go w obozową historię drugiej światowej wojny i tak w tej odrobinie upozowanej sprawczości każdy z nas będzie miał przed sobą gradację podłości jakiej akurat potrzebował.

– Zrobię piętnaście kroków – powiedziałem. Odwróciłem się, dostawiłem obutą piętę do betonowej płyty. Ruszyłem marszowo w kierunku walcowatej, metalowej kapsuły zbiornika. Odliczałem na głos. Około metra od cysterny wypadło piętnaście. Wykonałem wyuczony ćwiczeniem w tył zwrot i stanąłem naprzeciw otworu, w którym Rudy już opierał łufę swojego karabinu. Jeszcze raz spojrzałem na ładownicę. Upewniłem się, że wszystkie trzydzieści pięć jest tam, gdzie powinno być. A gdy ściągałem z pleców karabin, zobaczyłem skupiony na mojej głowie idealnie okrągły czarny wylot lufy i przymrężone oko Rudego.

Mistrz kompanii, który nomen omen ani chybi, właśnie umieszczał moje czoło gdzieś pomiędzy muszką a szczerbinką. Poczutem lekki niepokój. Miałem nawet się odezwać i jeszcze raz potwierdzić, że jesteśmy umówieni na niby, ale gdy rozkładałem kolbę, lęk nieco odstąpił i błąd wydał się mi czymś dla obu niemożliwym.

Ustawiłem broń pionowo na ramieniu i odciągnąłem zamek. Podobny metaliczny szczęk wybrzmiał za płotem, niemniej dopełniło go nieprzyjemne szurnięcie opartej w trójkątnym wycięciu lufy. Przeszedł mnie zimny dreszcz, który niemal natychmiast wytagodziło rozptywające się na plecach ciepło. A nawet odniosłem wrażenie, że jakiś pojedynczy gorący pasek na podobieństwo skanera przewędrował mi od czubka głowy aż do stóp. Balansowałem pomiędzy lękiem a ciekawością i miałem chęć się obejrzeć. Zobaczyć tego kogoś, kto być może na utamek sekundy, równie aluzyjnie dopełnia moje strzelnicze na niby i pozorując branie mnie na pamięć, razem ze stalowym baniakiem dociska horyzont, ale ostatecznie zadowolili mnie sama jego potencjalność.

– Pojedynek w stońcu! – oświadczyłem głośno i z palcem na spuście stanąłem w rozkroku. Spojrzałem w prawo. Jeszcze raz umościłem kolbę w ramieniu. A potem w lewo, do którego przelot błysnął mi czarno-cielisto-czerwona plama z Rudego. Lewo, na którym szcudłowaty niechybnie należący do mnie cień właśnie rozciągał się w trawie i wyglądało, jakby mnie opuszczał, a ja przytapałem go w końcowej fazie, jedynie luźno związanego z butami. A on schwytany na nietakcie, tylko tytułem dawnej nierozłączności, postanowił, że chwilkę zaczeka. To zupełnie niespodziewanie w moim na niby zaszczepiło lęk przed możliwym czymś naprawdę i żeby zapanować nad emocją, musiałem skrycie wziąć parę krótkich wdechów. Wróciłem do pozycji twarz w twarz. Przyłożyłem policzek do chłodnego metalu, ale nie spoglądałem na Rudego. Wybrałem spojrzenie w nieboskłon, pod którym znieruchomiłem z wycelowaną weń lufą, a potem nieśpiesznie odzyskując normę, zacząłem ją opuszczać. Czułem, że wodniste aryjskie oko Rudego skupione w trójkątnym wycięciu z uwagą śledzi ruch mojego karabinu, który właśnie w tej samej chwili zdał się mi jakimś ogromnym nietaktem przecinającym niebieskość nieba. Nieba, które winno być, a nawet było wolnym od wszelkiego ludzkiego podziątku. Niebo chmur, wiatrów i ptactwa. Niebo, pod którym presja ludowego stada spięta mnie w przysiędze na nierozzerwalność przyjaźni z bratnimi armiami i wiodącym związkiem radzieckim. Niebo zawłaszczone dla wszelkiego ich technologicznie zawnsowanego armijnego złomu. Ironia. Bo całe dotykające mnie osobiście kurestwo zawsze wychodziło z tego ludu i niemal zawsze miałem je w zasięgu ręki albo wzroku. A już na pewno nie przekraczało żadnych ludowych granic.

Przymus, który deptał moją wolę i dla dobra moich dręczycieli nakazywał mi karabinem z demoludów warować na straży spokojności błękitu, który bez żadnego do tego tytułu nazywali ludowym. Ludowego pod nim lasu, a nawet ludowego płotu. Kojące było, że właśnie przemyślałem, iż za chwilę, może i na niby, ale jednak wystawię paru ludkom rachunek. Wolno sprowadzałem ku dołowi czarny koniec. Mijałem czubki sosen. Schodziłem na górną, pokrytą mchem krawędź oddzielającego mnie od Rudego płotu i niespodzianie ujął mnie szczegół. Szczelina! Zielony pasek pomiędzy pierwszą a drugą szarością płyt. Jej łagodząca wzrok subtelna zieleń, z akuratnością wąskiego prześwitu, przez który ludowe insekty

wedle swej woli przeciągały swe chitynowe panczerzyki, w tę i we w tę, a nawet bez granicznej kontroli mogła przezeń przeniknąć imperialistyczna stonka w amerykańskich barwach. Ta myśl wzbudziła we mnie wesotość i poświadczenie wroga w celu zdało mi się niekonicznym. Miałem ochotę zerwać nasze wcześniejsze ustalenia. Ale gdy przed oczyma zafalowało mi rozmazaną czerwienią, niejako automatycznie wyostrzyłem źrenicę. Uspokoilem oddech i w kwadracie lufowej ostony na amen odliczyłem siedem eliptycznych wycięć, które umieściłem tuż pod postrzępionym kosmykiem rudej grzywki. Instynktownie uspokoilem drżenie ujętego w stalowy nawias małego walca i w bezdechu delikatnie nacisnąłem spust. W czerwono jasną plamę ze szczękiem wyskoczył zamek, który natychmiast zbił się w jedno z potężnym hukiem. Wiedziałem, że w na niby weszła ostrość byszczących stożków, że każdy z nich w końcu mógł robić to, do czego został stworzony. Wkomponowywać decyzję w punkt. Był jak A, po którym musiało przyjść B. Niekiedy z wygodną decydem filozofią Boga, który u wylotu lufy niósł jakiś ciąg dalszy. Dwuznaczną banalność kuli w ptoł, która dla mnie okazała się być ostatnim wspólnym miejscem jakiegoś mnie ze mną. Mgnieniem oka i rozdzieleniem światów, bez pewności, że tylko w jednym sądowy patolog na stalową nerkę odłożył spłaszczony kawałek otowiu. Dłuższą chwilę stałem jak wryty, a potem powolutku, z obawą obmacałem korpus. Nogi. Ręce. Grzmot był tak duży i bliski, że zwątpiłem, czy wystrzał jednak nie padł z mojej broni, ale gdy zobaczyłem przerażone spojrzenie Rudego, obejrzałem się za siebie. Tuż za moją głową, w płaszczu zbiornika srebrzyły się dwa wgłębienia z delikatnymi kreskami rykoszetów. Rudemu brakowało trzech pocisków. Znalaziono tylko dwie łuski. Rudy przestuchiwany dziesiątki razy słyszał pytanie.

– Gdzie, kurwa, schowałeś nabój!? Ale jak wszystko, także i to miało swój kres. Rudy trafił na dziesięć dni do pułkowego aresztu, czym dla wojska ostatecznie zamknął temat. A ja, jako nieco mniej winny zmartwychwstańca, po tygodniu dostałem czterodniowy urlop na podreperowanie psychiki. Nie było tematu naszej nieroztropnej zabawy.

Ot, niebaczność przy obstudze broni w pozycji pionowej. Wyślizgnięcie się zamka, który fortunnie uruchomił tylko krótką serię. W każdym razie po powrocie na kompanię przywitałem się z rudym Wojtkiem. Muszę przyznać, że obydwaj byliśmy zgodni. Tamtego poranka wystąpiła jakaś niezwykłość, dzięki której zachowałem swoją twarz, choć ślady po pociskach były idealnie w jej linii. A trzeci? Ten, którego nie było? Dokonał cudu przemiany u kompanijnych prześladowców, którzy od tego dnia do końca służby tylko sporadycznie i raczej bardzo ostrożnie, a nawet kumpelsko, muskali krwisty guzik. Zupełnie jakby przeczuwali, iż ten, który zniknął, może w mgnieniu oka dla któregoś z nich znaleźć w petni zastużoną komorę. Jakiś czas jeszcze zasypiałem i wstawiałem na rozkaz. Na rozkaz łączyłem marsz ze śpiewem. Na rozkaz naprawiałem betoniarki, które w sekretnych ostępach wylewały kły ludowej armii. Na rozkaz jadłem, a nawet korzystałem

z toalety i incydentalnie strzelałem do tarczy. Ja. Ostatnie szeregowo ogniwo, które w świetle komend pracowało nad zachowaniem świadomości, że wydający rozkazy słucha rozkazu innego, a tamten następnego, a ów jeszcze kolejnego. Że taka kolektywna spolegliwość kiedyś niechybnie wytoni tyrana, który nawet niewinne wyrazy może zamienić w pociski. W każdym razie opuściłem armię i cieszyłem się, że w geopolityce rozdętego patriotyzmu z ich bogami, honorami i ojczyznami w zasadzie fartownie mnie znalazł i nie znalazł pocisk. Jeszcze przez jakiś czas zamyślały mnie armijne rytuały. Specyficzny krok. Naprzemiennosc prawej ręki z lewą nogą, i lewej z prawą. Przybicia pod wojskową orkiestrę i marsze. Lewa. Prawa. Lewa. Prawa. Równaj. Zwroty w prawo, w lewo i w tył. Szeregi. Dwuszeregi. Czwórki, a czasem poligonowe tyraliery. Powtarzalność z tonacją pracy u podstaw, która w poprzekątności mózgowych półkul, w ich nieustannej grze w kółko i krzyżyk, w ich wcześniej zwykłej cywilnej logice jednej i kreatywności drugiej, naprzemiennością muzycznego taktu z wojskowym drylem usiłowała także mi wgrać nadrzędność racji stada. Szczęśliwie dzięki namystowi nie hołubiłem siebie w żadnej zbiorowości. Myślę, że już dużo wcześniej byłem rodzajem kuli w płot, której spodobał się własny niekonkret. Niezgoda na jedyne racje wrzaskliwych trybunów gromadzących wokół siebie tłumy. Na rozniecony przez nich owczy pęd, który ochocze powtarzanie wszelkich jego przejęzyczeń uważał za patriotyzm i nikt im już nie wmówił, że czarne jest czarne, a białe jest białe. To był zaskakujący meander. Przemyśliwać sposób upupiania jednostki w stadzie, a znaleźć schemat na narodowy totalitaryzm. Występność trójc XYZ-ów. Gdzie ludzie lks, skoszarowani w defiladowym przybiciu lewa, prawa, lewa, prawa, wbijali w ziemię zaszczepiane w sobie przekonanie, że są tylko wtedy, gdy chodzą pośród rzeszy, a wzmożona wspólnotowa naprzemiennosc powtórzeń, ich dotąd jednostkową logikę skuwiała w stadną. A wszelka kreatywnosc?

Mundurowała ich w barwy plemienne i w punktach styku lewej półkuli z prawą zawiązywała się pulpa, w której już nie umieli znaleźć jakiegokolwiek myśli własnej, zaś te szczątkowe, jeśli w ogóle były, ulegały zakrzywianiu w hakenkrojce, rodła, fa-langi. Igrek to ludzie stojący na chodnikach. Zachwyceni ulicznym równomarszem, który plemiennym drzeniem ziemi uderzał im do głowy i sprzęgał dwie półkule w kamerton, który niczym kościelny dzwon wymuszała stadną wotywnosc i rzucanie kwiatami. A ludzie Zet? Zet to architekci ramp, szlabanów, grodzienia i równi pochytej, po której ku podstawie sunął owoc ich logiki z kreatywnością. Brunatny szkic, udający kolorowanke świetlanej przyszłości. A ja? Ja, kula w płot, po prostu nie wszedłem im w ten takt.

MAREK STACHOWIAK: poeta, literat. Laureat wielu nagród w konkursach prozatorskich oraz poetyckich, m.in. nagrody głównej na VI Ogólnopolskim Festiwalu Poetyckim im. Wandy Karczewskiej w Kaliszu w 2016 roku. Autor tomu poetyckiego *Tata jest od tego* (2018), nominowanego do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

PODRÓŻ

Zbigniew Witostawski

Chwilami Rudy przestawał rzeźić. Jednak zsiniała twarz nie wróżyła mu długiej przyszłości.

– To nie ma sensu – szepnął ktoś z rogu przedziału – otwórzmy okno i... no... właśnie.

– Co? Żywego człowieka z pociągu wyrzucić? – oburzył się Łysy. – Przecież to nieludzkie!

– A ta jego agonია to ludzkie? Przecież wszyscy czekamy, kiedy tylko przestanie oddychać, czekamy na tę odrobinę miejsca, którą zyskamy. Wszyscy chcemy, żeby go tu już nie było i wiemy, że wkrótce nie będzie. A dla niego co za różnica, teraz czy za chwilę?

– Ale jakże tak? Żywego?

– Jaki on tam żywy. Patrzcie, znów przestał oddychać.

– Przecież biedakowi tu za duszno. A tam za oknem tyle świeżego powietrza. Może upadnie na miękkie, może uda mu się złapać oddech? Tutaj nie ma żadnych szans, a tak może go uratujemy.

Rudy odszedł w milczeniu. Błysk przerażonych oczu w otwartym oknie i już. Nawet nie usłyszeliśmy odgłosu upadku.

– Pewnie na miękkie upadł – szepnął Otyły.

Miejsce po Rudym nie było już puste. Rozsunęliśmy się, rozprężyli, jak drobiny gazu w piłce, z której uszło nieco powietrza. Nikt jednak nie odczuł, żeby zrobiło się luźniej.

– Żeby tak jeszcze paru – pomyślał Blondyn.

– Niewątpliwie podróż ta nie jest pozbawiona pewnych niedostatków. Jednak niedostatki nie mogą przestąpić sprawy nadrzędnej. Posuwamy się, jesteśmy coraz bliżej celu. A w końcu chodzi nam przecież o osiągnięcie celu. – Otyły był wyraźnie zadowolony z tego, co powiedział. Był przekonany, że moc jego argumentów jest bezsporna, że każdy musi się jej poddać. Był więc wyraźnie rozczarowany, nie widząc żadnej reakcji, żadnej zmiany w zachowaniu pozostałych podróżnych.

– Przecież posuwamy się – powtórzył. – Cel, cel coraz bliżej. Dojedziemy.

Zamilkł, przygwożdżony wzrokiem Wysokiego.

– A pana to ktoś tutaj nastął? Propagandę robić? Tak żeś pan na miejsce siedzące zastrzyżył? Wystugiwaniem się zamiast uczciwej pracy?

Otyły pobladł, krople potu wystąpiły mu na czoło.

– Coś nietęgo pan wygląda – zagadnął Blondyn.

- Ależ skąd! Czuję się świetnie!
- Proszę pana, tak nie można. Przecież pan Otyły ma prawo wyglądać, jak chce. Może nie jest okazem zdrowia, ale dlaczego go straszyć? – oburzył się Łysy.
- Pan też jakoś tak nieszczególnie, prawda? – Wysoki zwrócił się do pozostałych. Łysy skulił się i zamilkł.
- Niektórzy to więcej niż jedno miejsce zajmują. Ot, sprawiedliwość – mruknął Blondyn pod nosem, dostatecznie jednak głośno, aby wszyscy usłyszeli. Otyły próbował coś powiedzieć, jednak zdołał wykrztusić tylko kilka bezsensownych dźwięków. Wysoki spojrzał na Blondyna, obaj pokiwali głowami.
- Nietęgo z nim.
- Po prawdzie taki to jak nawet na twarde upadnie, to jakby inny na miękkie. Cichy, siedzący przy oknie, nic nie mówiąc, otworzył je na całą szerokość.



ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Jego ulubionym gatunkiem jest vilanella. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

Wyłęganie świata w konwencji Beaty Patrycji Klary-Stachowiak

Robert Rudiak

Gorzowska poetka Beata Patrycja Klary-Stachowiak to uznana już w regionie i kraju „poetycka firma”, która każdym kolejnym tomem wierszy zaskakuje i poraża czytelników swoją oryginalnością i konceptualnymi eksperymentami, za co też często, bo już od debiutu wydawniczego w 2005 roku, jest nagradzana literackimi laureami. Kilukrotnie uhonorowana różnymi nagrodami literackimi, dwukrotnie odebrała Lubuski Wawrzyn Literacki za tomy poezji – *Zabawa w chowanego* w 2011 roku i *Obiekty totemiczne* w 2015 roku, za zbiory *Szczekanie głodnych psów* i *Martwia* była nominowana do tejże nagrody w 2010 i 2019 roku, podobnie jak do Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza jej najnowsza książka *Lęgnia* w 2022 roku. W 2013 roku za tom poetycki *De-klaracje* była również nominowana do Nagrody Literackiej miasta stołecznego Warszawy, a za zbiorek *Misterium Solitera* w 2015 roku otrzymała Nagrodę Otoczaka za najlepszą książkę poetycką roku.

Uważam, że gorzowska pisarka jest obecnie jedną z czołowych poetek w Polsce i na pewno najciekawszą w województwie lubuskim. Zresztą Gorzów Wielkopolski miał zawsze szczęście do interesujących i znanych poetów, to tu przed wojną pracował jako lekarz ekspresjonistyczny poeta niemiecki Gottfried Benn, po drugiej wojnie osiadła w mieście nad Wartą pierwsza romska poetka Bronisława Wajs-Papusza, podobnie jak Zdzisław Morawski, Irena Dowgielewicz, Kazimierz J. Furman, Kazimierz Jankowski – zapomniany już najlepszy polski poeta nurtu robotniczego, oraz Marek Lobo Wojciechowski, również dwukrotnie zdobywca Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Najnowszy zbiór prozy poetyckiej *Lęgnia* Beaty Patrycji Klary-Stachowiak to tom nadzwyczaj osobliwy, pełen językowych eksploracji i lingwistyczno-warsztatowych eksperencji. Składają się nań 23 utwory zebrane w dwóch częściach, podzielonych myślą Władysława Hasiora, ekscentrycznego, podhalańskiego artysty wizualnego, twórcy asamblaży, rzeźb, pomników i instalacji. Jego twierdzenie o wyższości rzeczy zepsutych nad innymi nieprzypadkowo przywołane zostało przez gorzowską poetkę, bowiem też głównie na zdeformowanej materii lub fizycznych ułomnościach, dewiacjach, dziwactwach i wybrykach natury skupia ona swoją uwagę, przywołując m.in. Anatolija Moskwina, rosyjskiego profesora z Niżnego Nowogrodu, który wykopywał ciała zmarłych dziewczynek i robił z nich zmu-mfikowane lalki („Cudawiszcze”), i Franka Lentiniego, amerykańskiego artystę cyrkowego, uważanego za dziwoląga, gdyż posiadał trzy nogi, cztery stopy i dwa penisy („Wynaturszcze”). Interesuje ją somatyczność w wymiarze zarówno żywych, jak i zmarłych, jak w impresji „Cudawiszcze”, gdzie podmiot konkluduje:

Ciało, które gdy nic nie może, najlepiej zaświadcza o człowieku.

Tytułowa „lęgna” – dla wyjaśnienia – to termin biologiczny oznaczający żeński organ płciowy u glonów i grzybów, natomiast „klujnik” to szuflady aparatu wylęgowego, w których składa się jaja w celu wylęgania się piskląt. *Lęgnię* otwiera właśnie miniatura zatytułowana „Klujnik”, w której poetka opisuje swoją wieś w otoczeniu polnych roślin, traw i chwastów, a zarazem uwspółcześnia jej obraz dopytywaniem o dzieci z Michałowa, grupkę migrantów kurdyjskich i syryjskich, która przekroczyła nielegalnie granicę polsko-białoruską w 2021 roku i została przez straż graniczną z Michałowa na zasadzie push back odprawiona z powrotem na Białoruś. Stąd w „Klujniku” czytamy, że:

Moja wioska to małe domy, wyschnięte rzeki, siewne pola. Nie zna granic. Nie wie, gdzie są dzieci z Michałowa. Dlatego pyta o nie gnidoszem błotnym, tymotką łąkową, drżączką polną.

Zresztą odwołań do aktualnych wydarzeń społeczno-politycznych w kraju jest więcej, bowiem autorka przywołuje na podstawie medialnych doniesień informacje o znalezieniu w podlaskim lesie zwłok syryjskiego uchodźcy o imieniu Issa, czyli Jezus („Zatrwian”), o wybuchu wojny w Ukrainie („Wici” i „Śmiertnia”), o nielegalnych imigrantach („Rodnia”), o wdowach ukraińskich z kilku zbombardowanych miast („Siedem saren”), o kurdyjskiej matce w Hajnówce („Lubow maja”), o sprzęcie wojskowym rozstawionym w przygranicznej wiosce („Push back”) oraz odwołań ekologicznych, gdy mówi o zanieczyszczonych plastikiem oceanach („Bliskość”).

Kompozycje tematyczne miniatur Klary-Stachowiak stanowią często diapazon, w którym mieści się opis wsi i jej naturalnego otoczenia lub nawiązanie do rustykalnego życia, przemieszane z polnymi roślinami, trawami, chwastami lub światem fauny, na drugim planie prastowiańskie demony i staropolskie terminy medyczne z dziedziny psychiatrii, do tego kulisy scen zwykle okraszone paletą zmiennych barw.

Wieś nie ma u autorki *Lęgni* jednoznacznego umiejscowienia, odwołuje się do wsi podlaskich i bieszczadzkich (Tykocin, Kruszyniany, Smolnik, Bohoniki, Sokółka) i przedwojennego Landsbergu (Gorzowa Wlkp.), które ukazuje w kontekście retrospektywnym, wymieniając miejsca religijnych obrzędów i nekropolii różnych wyznań – katolików, prawosławnych, muzułmanów i judaizmu (kościoty, cerkwie, synagogi, meczety, cmentarze, kirkuty, mizary), znajdujące się na Kresach. Wiejska osada obrazowana jest też często w konkretnej porze roku (jesień, zima, marzec, grudzień) lub dnia (poranek, świt, dzień, noc), w otoczeniu roślin (gnidosz, tymotka, drżączka, marzanka, turzyca, żyworódka, mięta, wiszary, widłozęb, bodzisek, tobołek polny), drzew (sosny, dęby, wierzby), owoców (oberżyna, kosztele) oraz grzybów (np. siedzuń), łąk, torfowisk, kniei i grądów, rzek i jezior lub w kręgu hodowlanych i przydomowych bądź leśnych i dziko żyjących zwierząt i ptaków.

Do tak skonstruowanego świata i inwentarza rekwizytów poetka wprowadza odrobinę magii ze starostwiankich wierzeń, jak płanetnika, duszyce i widma, które przywołuje wraz z dawną terminologią medyczną stosowaną onegdaj w psychiatrii, jak owileć, który stosowano na określenie szaleństwa, nocobłąd, który oznaczał lunatykowanie, nabłąkanie – obłąkanie, czy trwoga sercowa, która była atakiem paniki u ludzi chorych psychicznie, a których miejscowi nazywali zwykle wariatami, pomyłkami czy wiejskimi głupkami. Stąd autorka, niczym wiedźma w anturażu ziół, przywołuje duchy zmarłych albo jak szamanka wróży i antycypuje jak w utworze „Wróżbienie”:

Wychodzę naga z nieubranych snów. Gałęziami rozczesują białe nitki strachu, jakbym w splocie warkoczy przeczuwała skon. [...] Przepowiadam zapachem ostrużyn z kredek i temperówki.

Często te staropolskie wyrazy (owileć, nocobłąd) gorzowska liryczka umieszcza w tytułach miniatur obok neologizmów (wynaturszcze, cudawiszcze) i terminów biologicznych (łęgnia, rodnia). Co ciekawe, wyraz „owileć” wywodzi się z mitologii Słowian, pochodzi od słowa „wiły”, czyli kobiecych, wodnych demonów, które uwodziły mężczyzn, sprowadzając na nich szaleństwo. W języku staropolskim, jeszcze w XV wieku, termin „owileć” oznaczał „oszaleć” i stosowano go w medycynie, kiedy u chorych psychicznie rozpoznawano szaleństwo, obłąd, obłąkanie lub opętanie.

W miniaturce „Przypłotnica” autorka opowiada z kolei o starej kobiecie śpiącej w upalny dzień, co nasuwa podobieństwo do kobiecego, kuscielskiego demona (przypołudnicy, mamuny, żytniej rusałki), wabiącego na polach w śródozdech łąk. Ale przypłotnica to też wiejska prostytutka, kobieta wyklęta z lokalnej społeczności, napiętnowana i szkalowana przez miejscowych.

Obok starostwiankich wierzeń do głosu dochodzą też ludowe zwyczaje, pogańskie obrzędy i zabobony jak w obrazie zatytułowanym „Dobra nowina”:

Od wczoraj psy roznoszą po wiosce dobrą nowinę. [...] Nadchodzi skowyt i krew. W domu obok szykuje się ślub. Młodej pannie nie wolno schylać się pod drzewem. Musi omijać głodną sukę, przecierać twarz żyworódkami.

W tekście „Przenikanie” magiczne zaklęcia i sny, nocne zjawy i duchy zmarłych występują na jednej płaszczyźnie, świat oniryczny infiltruje realny, a podmiot wyznaje:

Przed pierwszym pianiem koguta do głowy wchodzi drzewa. Jak opiekunowie otulają śpiące ciała. Za dnia las nigdy nie przestępuje progu domu. Ale nocami światy się mieszają.

A w utworze „Rodnia” dodaje:

Nadchodzi noc rozpraszania znaczeń.

W „Przychacie”, która może być chwastem przydomowym, jak i terenem wokół chałupy, gdzie w jednym czasie wszystko się wydarza i toczy, trwa życie,

które przenika śmierć, a obok siebie, niemal na równi, egzystują dwa światy – żywych i zmarłych, podmiot mówi:

Babka zmarła i dopiero wtedy została z nami na zawsze. Czas przestał się nią zajmować. On tylko doświadcza żywych kamieniami, wyznaczając kolejne dni. Drutem kolczastym sznurując przejścia i usta.

Topos wsi, wydawałoby się urokliwej i szczęśliwej, w myśl hasła Wyspiańskiego „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna” nie koreluje z wizją gorzowskiej poetki. Brak tu owej arkadyjskości, jeśli o niej napomyka, to wyłączenie w czasie przeszłym, przywołanym z dzieciństwa. Zaburza go zwykle ukazany w tle danej reminiscencji motyw wojny lub obraz uchodźców napływających zza wschodniej granicy. Wieś jednak pełni funkcję uniwersum, jest całym światem i życiem dla podmiotu, posiada własną magię i czar, tu bowiem wszystko się dzieje i wydarza, a zarazem na zawsze zatrzymuje w czasie, niczym w stopklatce, pozostaje niczym na wieczność zastygłe w ruchu. Uwagę więc skupia autorka *Lęgni* na przedmiotach i znaczeniach, na małe istotnych drobiazgach, jak w scenie „Porannik”:

Czasem o życiu świadczy tylko dym nad dachem. [...] Żadna rzecz nie jest tym, czym się nam wydaje. Drzewo w śniegu nie jest tylko drzewem.

W tekście „Siewki” podmiot dopowie:

Tylko to znaczy, co już nie istnieje.

Czego zatem szuka Klary-Stachowiak w swojej lirycznej spowiedzi? Z pewnością poszukuje tożsamości, korzeni łączących ją zarówno z całym światem, jak i jednym miejscem, łączących świat realny z duchowym, świat żywych i zmarłych, szuka jedności z czasem przeszłym i obecnym, owego uniwersum, który stanowiłby pomost i jednię. Stąd szuka siebie w sobie, jak w „Śmiertni”, gdy mówi:

W dniu mgły deszczowej szukam w sobie dziecka.

Poetka odnajduje się zarazem w świecie słowiańskich mitów, pogańskich wierzeń i przesądów, tropi swoje jestestwo w różnorodnych wyznaniach religijnych, w przeróżnych zbiorowiskach i cmentarzyskach, w różnych czasoprzestrzeniach fizycznych i somnambulicznych. Sensu szuka w dekompozycji i destrukcji materii, w anihilacji i regeneracji, dlatego stwierdza:

Skomlesz, a proces rozpadu sam się na nowo rodzi.

Na okładce książki gorzowskiej poetki Kinga Młynarska lapidarnie, acz lirycznie napisała, że poezja Klary-Stachowiak to „zdecydowanie coś więcej niż tylko słowa. Ten tom otula wilgotnym mchem, okadza wonią polnych ziół. Jest lirycznym zaklęciem. Wydobywa z cienia to, co przeczuwane i eksponuje nagie kości tego, co tak bardzo ludzkie. To wiersze o tym, co w nas i obok nas. Tak oto lęgnie się jednia”.

Zbiorek poetyckich opowieści Beaty P. Klary-Stachowiak to liryka wielowarstwowa, mistyczne laboratorium, w którym jak pod lupą spotyka się słowo i wyobrażenie, duch i materia, doświadczone i przezuwane, poznane i niezaznane, a poetka dokonuje swoistej wiwisekcji tego, co empiryczne, abstrakcyjne i eteryczne. W swojej beletrystycznej liryce jest przy tym bardzo precyzyjna, niemal pedantyczna, czuć tu kunszt poetyckiego rzemiosła i erudycyjność, jej obrazowanie jak magnes przyciąga i wchłania w feeryczną krainę rodni i lęgni, gdzie wszystko tworzy się i gaśnie, umiera i odradza na nowo.

Beata Patrycja Klary-Stachowiak, *Lęgnia*, Wyd. Dłaczemu, Warszawa 2022, 54 s.

Dr ROBERT RUDIAK: poeta, prozaik, krytyk literacki, prezes Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze. Wydał 14 tomików wierszy i opowieści, 8 książek monograficznych i szkiców, współredaktor antologii i katalogów. Otrzymał dwukrotnie Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra (2007, 2019), Lubuską Nagrodę Literacką ZLP (2011), Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” (2015) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2016) oraz Małego Eryka – Nagrodę SPAK (2019). Odznaczony medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej (2017).



DOŚWIADCZANIE GRANICY

Roman Haldas

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych minionego wieku pracowałem we Frankfurcie nad Odrą. Nie ukrywam, że jadąc w jedną czy drugą stronę, świadomie przekraczałem celne normy graniczne. Raz po raz wwoziłem dzinsowe spodnie i bluzy, które miały świetne wzięcie. W drugą stronę zabierałem, więcej niż dopuszczano, wędlin i słościcy, nie wspominając o sokownikach, na które bez względu na porę roku był stały popyt. Rozgrzeszając się ową opowieścią, wiem, że etycznie broiłem. Usprawiedliwienia nie szukam.

Kiedyś na owej ślubickiej granicy, gdzie postrachem była celniczka o ksywie „Ruda”, spotkała mnie ciekawa historyjka. Podjechałem samochodem do kontroli celnej, a po niej przekazałem niemieckiej straży granicznej żądane dokumenty, dowód osobisty i dowód rejestracyjny samochodu. Po ich sprawdzeniu i zaakceptowaniu otrzymałem pozwolenie na przejazd. Zrobiłem dwa, trzy metry i zatrzymałem auto pod polskim okienkiem. Jednak nasz wopista zwrócił mi tylko dowód tożsamości. Samochodowe papiery na tym krótkim odcinku najzwyczajniej... wcięło. Niemiec twierdził, że przestał je Polakowi, a nasz pogranicznik, że ich nie otrzymał. Dzisiaj z pewnością wykryłaby to kamera, ale nie wówczas. Mundurowy rozłożył tylko ręce, nakazując nie blokować przejścia i jechać do polskiej odprawy celnej. Ta bez żadnej kontroli uniosta szlaban, nakazując wyjazd. Granicę przekroczyłem, nie martwiąc się specjalnie, bo w wieku trzydziestu lat łatwiej popełnić grzech, odpuścić albo cokolwiek zlekceważyć. Nazajutrz udałem się do wydziału komunikacji. Sprawę przedstawiłem, a kilka dni później otrzymałem przejściowy duplikat. Dodatkowo wyrobiłem sobie zdanie o szeroko rozumianej granicy, o służących na niej żołnierzach, tak jednej, jak i drugiej armii. Do dzisiaj nie wiem, komu moje dokumenty były potrzebne i który z pograniczników posunął się za daleko?

Ruch. Na wspomnianym przejściu był zawsze ruch. W moim życiu zawodowym także. Szczególnie zapamiętałem pierwsze lata pracy restauracyjnej w Warszawie, na poznańskim Dworcu Głównym. Przy pięciu, sześciu obsługiwanych przez każdego z kelnerów stolikach zasiadała niezliczona ilość obcych sobie podróżnych, chcących w trakcie przesiadki coś szybko (zawsze szybko!) zjeść. Często bywało, a w trakcie Międzynarodowych Targów Poznańskich nagminnie, że w porze obiadowej kelnerom pot spytywał strużkami w kierunku rowka, gdzie plecy kończą swoją szlachetność. Może dlatego – dla odpoczynku po bieganiu – szukałem nazajutrz wyciszenia w nadrzecznych olsach. I tak mi zostało, że do ciszy powracam. Ostatnio, w lutym, z nowym sezonem wędkarskim odwiedziłem jeden z podgorzowskich ruczajów. Na wyprawę zabrałem wędzisko i fotoaparat,

a także kolesia, który chciał zobaczyć pstrągową wodę. Rzeczka, jak płynęła, tak płynie, meandruje, przyspiesza, spowalnia, nudzi, marudzi, skąpi ryb w kropki biało-czarno-czerwone. A napotkany strzyżyk – ledwo dostrzegalny na zrudziałym tle, najgłośniejszy na ten czas w okolicy – nawoływał śpiewnie, a ruchliwy był wielce. W końcu dał się sfotografować. Z olszynowymi koronami będącymi w delikatnym tańcu i gałązkami kaliny, na których, aż dech zaparto, migotały szkarłatne owoce. Co prawda niewiele ich, bo zima, a większość po kilkudniowych nocnych przymrozkach szybko spada z gałązek i wsiąka w bezmiar butwiejących liści, bądź odpływa z nurtem. Nie zjadają ich ptaki. Powodem (uwaga! wygooglowane!) wysokie stężenie gorzkich garbników i saponiny podrażniającej przewód pokarmowy. Taki kilkugodzinny ruch powiązany z nietatwym przemieszczaniem się w podmokłym terenie, w kaloszach sięgających do pachwin, daje się nazajutrz we znaki. Ooo! Taka to w moim wydaniu transgresja, fluktuacja, ruch.



Stare oraz nowsze wspomnienia... Kotwiczę w kolejnym Habdasiorowym bla, bla-niu. Ale zaraz, zaraz, jeszcze o Windsorze nie było. Bo czasu (na emeryturze) za mało. Wiem jednak, że jak stał, tak stoi i na mnie czeka. Koledzy telefonicznie zapewnili. Niech tylko temperatura nocami podskoczy ponad granicę minusów i pergaminowa zmarzlina na stałych akwenach ustąpi, a wiatr zafaluje, woda i trzciny, wówczas barakowóz przewietrzę. Tam koza rozgrzeje marzenia, drwa podsycą płomienie, dym pójdzie w ostępy. Smutek zimy uleci. Wielu z nas zazienieni myśli, zakwitnie chceniem, przekroczy kolejny próg. Wtedy Człowiek Prawdziwie Zmartwychwstanie.

ROMAN HABDAS: poeta, pisarz, felietonista „Pegaza Lubuskiego”. Członek ZLP. Wydał książki poetyckie *W ramionach Drawy* (1995), *Żucie szczawiu* (2007) i *Z gliny ulepieni* (2009), *Stacje Drogi Krzyżowej* (2021). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: *Mały Paryż* (2015), *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017) oraz *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.

WYMYKAJĄCY SIĘ ŚWIAT

Urszula Zydorczak

Ula Zydorczak. Rocznik 1961.

Fotografuję amatorsko.

Od 12 lat zamykam w kadrach to, co mnie zadziwia, zaskakuje, zachwyca, porusza moje zmysły.

W 2018 roku uczestniczyłam w warsztatach fotograficznych prowadzonych przez Tomasza Tomaszewskiego, a 2022 roku ukończyłam jego Prywatną Akademię Fotografii.

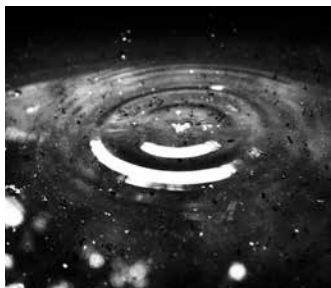
Od listopada 2022 roku w warszawskiej Leica Store wisi wystawa moich prac.

Zapraszam też na Instagram: @zydorcza.

Natomiast na YouTube, na stronie Polish Women Photography, dostępny jest slideshow „Jestem Fotografką_Urszula Zydorczak”.

„Najczęściej fotografia ujawnia to, co w życiu ciekawe. Bywa jednak i tak, że za sprawą talentu oraz oryginalności autora potrafi zasugerować, iż ciekawym jest właśnie dlatego, że zostało sfotografowane. To przypadek Pani Uli Zydorczak i jej kolekcji zdjęć prezentowanych przez Leica Store & Gallery Warszawa. Serdecznie zapraszamy do obejrzenia niezwykle ciekawych obrazów pokazujących istniejący świat w sposób wymykający się werbalnym opisom. Świat, który jest ilustracją frapującej osobowości autorki i jej entuzjastycznego zadziwienia życiem, fragmentu ciągle nieposiadającego nazwy” – Tomasz Tomaszewski.





ŚWIĘTO LUDZI PIÓRA

Agnieszka Moskaluk

Kapituły tegorocznych 29. Lubuskich Wawrzynów Literackich, 18. Lubuskich Wawrzynów Naukowych i 9. Lubuskich Wawrzynów Dziennikarskich doceniły talent autorów z północnej części województwa lubuskiego. WALDEMAR SZYMCZAK zdobył Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza. JERZY GAŚSIÓREK został uhonorowany Wawrzynem za całokształt twórczości. JERZY HAJDUGA i MACIEJ ZDZIARSKI otrzymali dyplomy za szczególne walory edytorskie swoich książek. Prof. DARIUSZ A. RYMAR zwyciężył w plebiscycie czytelników. A ZBIGNIEW BOREK zdobył Lubuski Wawrzyn Dziennikarski.

Lubuski Wawrzyn Literacki – Proza WALDEMAR SZYMCZAK

Nominowani:

- Maurycy Dudek, „Przywoici ludzie”
- Marcin Mielcarek, „Sztuka latania”
- Waldemar Szymczak, „Odwyk (z) dorosłości”

Lubuski Wawrzyn Literacki – Poezja MICHAŁ BANASZAK

Nominowani:

- Michał Banaszak, „Exit”
- Beata Patrycja Klary-Stachowiak, „Lęgnia”
- Paulina Korzeniewska, „Mniej”

Lubuski Wawrzyn Naukowy – KAROL SIEMASZKO

Nominowani:

- Daniel Koteluk, „Ksiądz Ignacy Zoń (1915-1967). Droga orędownika niepodległości Polski do stalinowskiego więzienia”
- Dariusz A. Rymar, „Nie ma wolności bez Solidarności. Demonstracja z 31 sierpnia 1982 roku w Gorzowie Wielkopolskim – geneza, przebieg i następstwa”
- Karol Siemaszko, „Wymiar sprawiedliwości w sprawach karnych na tzw. Ziemiach Odzyskanych w świetle orzecznictwa sądów okręgowych w Zielonej Górze i Głogowie z siedzibą w Nowej Soli w latach 1945-1950”

Lubuski Wawrzyn Dziennikarski – ZBIGNIEW BOREK

Nominowani:

- Zbigniew Borek
- Cezary Galek
- Mateusz Pojnar

Plebiscyt online Nagroda Czytelników – DARIUSZ A. RYMAR



KWARTAŁ U HERBERTA (WYBÓR)

Magda Turska

SPOTKANIA AUTORSKIE

Pełna aula, przekrój przez wszystkie pokolenia, atmosfera niecodziennego święta, bo 7 grudnia 2022 r. punktualnie o 17:00 do sali audytornej Biblioteki Herberta wkroczyła z paterą pierników w dłoniach Maria Peszek. Spotkanie, moderowane przez Hannę Kaup, skupiło się wokół nowo wydanej książki „Nakuwiam zen”, która jest swobodnym zapisem rozmów z Janem Peszkim. Gościni Biblioteki przekazała credo książki, którą uważa za ciepły i do bólu szczery dialog pomiędzy córką a ojcem – dwojgiem artystów, których łączy głębokie uczucie. Gorzowianie przyjęły autorkę entuzjastycznie: pojawiło się wiele pytań z widowni oraz podziękowań za batalię antydyskryminacyjną od lat prowadzoną przez Marię Peszek. Ustawiła się długa kolejka po autografy, artystka znalazła czas na rozmowę z każdym fanem. Częstowała jednocześnie bożonarodzeniowymi piernikami, zaznaczając, że grudniowa promocja jej książki odbywa się pod okościwiałęcym hasłem „PiernikTour”.

Dzień później, 8 grudnia, Herbert powitał Magdalenę Grzebałkowską i Ewę Winnicką, które promowały książkę „Jak się starzeć bez godności”, do której napisania skłonił uznane reporterki ich podcast pod tym samym tytułem. Autorki połączyły siły i stworzyły utwór przedstawiający proces starzenia „bez owijania w bawełnę, z humorem i dystansem”. Czytelnicy spędzili w bibliotece relaksujący wieczór, przeplatany inteligentnym dowcipem i celnymi ripostami, okraszonymi szczyptą dobrego żartu. Spotkanie odbyło się w ramach programu Dyskusyjne Kluby Książki.

Z HISTORII REGIONU

5 grudnia odbyła się promocja wydanej przez Bibliotekę książki „Polska Pani Warta”. Dzieło ze zjawiskowymi fotografiami to nakład pracy miłośników rzeki, a do jego napisania skłonił poszczególnych autorów znany w środowisku regionalista Zbigniew Czarnuch. Tytuł publikacji został zaczerpnięty z wiersza „Romanca o Pani Warcie” Woldemara Nürbergera, niemieckiego poety z Landsbergu. Autorami tekstów zamieszczonych w zbiorze są: Jacek Buczyński, Zbigniew Czarnuch, Maria i Bogdan Gontowie, Krystyna Kamińska, Zbigniew Miler, Grażyna Kostkiewicz-Górska, Kazimierz Ligocki, Renata Ochwat i Jarostaw Palicki.

12 grudnia dr hab. Krzysztof Wasilewski zaprezentował swoją najnowszą publikację pt. „Regionalizm 2.0. Media hiperlokalne i mate ojczyzny” oraz przeprowadził wykład na temat współczesnego regionalizmu, a wszystko to przy okazji

spotkania z cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Naukową atmosferę wieczoru podgrzewała obecność młodzieży akademickiej.

30 stycznia 2023 roku Dział Zbiorów Regionalnych promował „Willę Hansa Lehmana” autorstwa dr. Matthiasa Lehmana, która ukazała się wcześniej dwukrotnie w Niemczech. Podczas spotkania redaktor polskiego wydania Grzegorz Urbanek przedstawił historię przemysłu ciężkiego w Landsbergu, a Grażyna Kostkiewicz-Górska prezentację na temat powojennych losów willi Hansa Lehmana.

1 lutego po raz kolejny promowano „Nową Marchię – prowincję zapomnianą – Ziemię Lubuską – wspólne korzenie”. Biblioteka Herberta może pochwalić się już 15. numerem Zeszytów Naukowych. Podczas wieczoru dr Paweł Migdalski z Uniwersytetu Szczecińskiego wygłosił wykład pt. „O konieczności powrotu do badań milenijnych w związku z aktualnymi i zbliżającymi się rocznicami”.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

9 grudnia 2022 roku pułkownik Grzegorz Kaliciak, który brał udział w misjach na Bałkanach oraz w Iraku i Afganistanie, przeniósł widownię w arkana pola walki. Spotkanie moderował dr Przemysław Słowiński, zadając pytania o związki armii amerykańskiej z polskimi żołnierzami. W dyskusję wprowadził krótki film dokumentalny na temat wydarzeń w Karbali. Autor czterech książek („Afganistan”, „Bałkany”, „Bez taryfy ulgowej”, „Karbala”) mówił o trudnościach i problemach uczestników misji. Wspominał także o stresie pourazowym, który dotyka wielu żołnierzy. Stwierdził, że najtrudniejsza dla żołnierza jest rozłąka, a najgorszym momentem są święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc, gdy nie można ich spędzić z rodziną. Spotkanie odbyło się w ramach projektu „Ameryka w twojej bibliotece” finansowanego przez Departament Stanu USA.

WYSTAWY

12 stycznia otwarto w Galerii Pod Kopułą wystawę fotografii artystycznej „32 SZTUKI SZTUKI” autorstwa Michała Rybczyńskiego. Niecodzienne dzieła artysty, który łączy pracę z pasją, można było oglądać do 10 marca. Podczas wernisażu fotograf zadeklarował się jako miłośnik zwierząt, który organizował m.in. akcję charytatywną na rzecz bezdomnych czworonogów.

2 lutego w Galerii Pod Kopułą odbył się wernisaż wystawy autorskiej pt. „Akwarele” Leszka Błażewicza. Kurator wystawy Zbigniew Olchownik podkreślił, że akwarela należy do trudnych technik, ponieważ wodne farby wymagają pełnego skupienia oraz niezwyklej precyzji. Ponadto akwarela jest właściwie niemożliwa do skorygowania. Wystawę można oglądać do końca marca.

SŁOWO I MUZYKA

11 grudnia Sylwia Dera interpretowała reymontowską Wigilię. Opowieści przepłatała muzyka Józefa Sobolewskiego na fortepianie i Tadeusza Krzyżanowskiego na skrzypcach. Artyści poprowadzili publiczność nie tylko przez klasyczne rytmy, ale także swingowe i jazzowe.

30 grudnia Janusz Radek i Adam Drzewiecki wykonali koncert kameralny na dobry koniec roku. Niekwestionowana gwiazda muzyczna przyciągnęła do Biblioteki rzeszę fanów.

VARIA

„PEGAZ LUBUSKI”

Już nie pierwszy raz „Pegaz Lubuski” zaskakiwał – tym razem zaskoczył objętością. Grudniowy numer liczy 140 stron, a na jego kartach literatura, która zaspokoita nawet najbardziej wytrawnych czytelników. Przekrój poprzez gatunki literackie, począwszy od poezji, poprzez prozę, felieton, recenzję, na dramacie skończywszy, uwydatnia, jak wszechstronne jest środowisko twórcze Gorzowa i okolic.

15 grudnia 2022 r. redaktorki Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk i Beata Igielska poprowadziły wieczór, ilustrując zawartość gorzowskiego czasopisma kulturalno-literackiego. Położyły nacisk na jakość tekstów i klucz ich doboru. Tematem przewodnim były rytuały, co pośrednio zbiegło się z datą promocji wydawnictwa – tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Nietuzinkowej treści towarzyszyły zjawiskowe grafiki Jacka Laudy.

Kolejną niespodzianką była rozmowa redaktorki naczelnej „Pegaza Lubuskiego” z Hanną Bilińską-Stecyszyn, która promowała swoją najnowszą książkę pt. „Druga szansa, czasem trzecia”. Ciekawa dyskusja z pisarką z Lubniewic zająłaby się wokół opowieści o kreowaniu świata przedstawionego, gdzie najważniejsze jest uwydatnienie dobra tkwiącego w ludziach.

Na zakończenie Andrzej Haegenbarth zaprosił zebranych do Galerii Pod Koputą, gdzie można było oglądać jego foto-grafiki. Kazimierz Ligocki słowem wstępu omówił intencje autora kilkunastu wystawionych prac, tym bardziej uświadamiając, jak zagadkowy i złożony potrafi być świat obrazu.

U Herberta i w filiach odbywają się cykliczne spotkania Dyskusyjnych Klubów Książki. W „Bibliotece pana Kleksa” przeprowadza się zajęcia dla dzieci – podczas ferii najmłodszy mieli czas wypełniony po brzegi. Ośrodek Integracji i Aktywności obok spotkań czytelniczych organizuje m.in. wystawy plastyczne. Filie aranżują wystawy oraz wieczory autorskie. Działalność gorzowskiej Książnicy jest mocno nastawiona na czytelników, z których każdy może dopasować ofertę Instytucji do swoich potrzeb. Zapraszamy na stronę www.wimbp.gorzow.pl oraz nasze portale społecznościowe (Facebook, YouTube, Twitter).

ZAPRASZAMY DO HERBERTA

27 marca o godz. 17.00

W ramach cyklu Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie.

Wykład dr. Krzysztofa Wrońskiego o architekturze joannitów na terenie diecezji lubuskiej

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107



12 kwietnia o godz. 17.00

XX-lecie cyklu Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie

Promocja książki prof. Edwarda Rymara pt. „Barnim I. Książę Słowian na Pomorzu (ok. 1220/21–1278)”

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107



14 kwietnia o godz. 17.00

Wykład prof. Stanisława Niciei „Kresy Rzeczypospolitej – niekończąca się historia”

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107



18 kwietnia o godz. 11.00

Konferencja naukowa „Łączy nas literatura i historia – Hans Fallada po dwóch stronach granicy”

Biblioteka Herberta, ul. Sikorskiego 107





Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim



**OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. JANA GROSSA
EDYCJA III - 2023 r.**

**Termin składania prac
- do 31 sierpnia 2023 r.**

Regulamin Konkursu na stronie
www.wimbp.gorzow.pl